



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

PIOSNKI GÓRSKIE.

CZYBYŚ PRZYSTAŁA?

Czybyś przystała, piękna dziewczyno,
Czybyś przystała
Mieszkać w tym zamku, co już ruiną
Wali się starą wśród wstrząsów gór?
Grozne u stóp mu strumienie płyną
A nocą pała
Tuż nad nim piorun w ćmie czarnych chmur.
Chciałabyś z kim tu mieszkać, dziewczyno?
— Gdybym kochała

Czybyś przystała na życie całe,
Czybyś przystała
Zamieszkać leśne schronisko małe,
Wśród niedostępnych, odwiecznych puszczy?
I codnia patrzeć na stromą skałę,
Co, w śniegach cała,
W żalobny tylko stroi się bluszcz?
Przystałabyś tak na życie całe?
— Gdybym kochała

Czybyś przystała nad brzegiem rzeki,
Czybyś przystała
W chacie rybaka mieszkać dalekiej
I w czterech ścianach jej znaleźć świat?

I nic nie pragnąć więcej przez wieki,
I rosnać biała,
Jako samotny w pustkowiu kwiat,
Przekwitający nad brzegiem rzeki?
— Gdybym kochała.

Szczęsnia

KSIEŻNA IZABELLA.

(Dalszy ciąg).

Chłopców uczono w Puławach religii, języka ojczystego, historii literatury i życia politycznego, matematyki i fizyki, w zakresie wcale przyzwoitym; dalej języków nowożytnych, głównie francuzkiego, ogólnych pojęć z dziedziny państwowości i ekonomii politycznej, historii powszechnej, a przedewszystkiem łaciny i greki, literatury i starożytności rzymskich i greckich. Sam książę był zapalonym klasykiem i swoje *Mysli* z klasycznego rzucał stanowiska. Ćwiczenia zręczności i siły męskiej, popisy krasomówcze i teatralne, uzupełniały to średnie wykształcenie, jakie można było przy pilności i miernych choćby zdolnościach wynieść z Puław. Zakres nauki dziewcząt był skromniejszym, bo też i wymagania mniejsze. Główny cel kształcenia dziewcząt, oile widać z opowiadań gości i domowników, oraz poznanych dotychczas świadectw archiwalnych, upatrywano w tem, aby im dać dobre wychowanie. Umysłowość występowała tylko pomocniczo; głównie szło o stronę praktyczną powołania kobiety. Przyuczano ją do pracy, do porządku, rozwijano jej uczucia, wyrabiano charakter pojmując go jako czynnik równowagi w uczuciach. Prawdę mówiąc, niewiele co zmieniło się w rzeczywistość wychowania kobiecego przez te sto lat ubiegłych, a to pomimo znac-

nego postępu w programatologii szkolnej u ogółu narodów europejskich. Zwiększono tylko balast ale nie zwiększono pożytku. Panienska puławska, która w XVII w. uczyła się tylko czterech działów i ułamków, a z nauk przyrodzonych rozpoznawania roślin w ogrodzie i w polu. lub zwierząt na atlasie, wcale nie stała niżej w późniejszym życiu, niż dzisiejsza, która i o równania wyższe zawadza i na anatomii gra, jak na klawiszach. Dziś z tych bujnych programatów zostaje przez parę pierwszych lat coś dla salonu — o tem ani wątpić — ale nie zostaje prawie nic dla życia, bo i to, coby pożytecznem być mogło i czego z programatów usuwać-by nie wypadało, przez niewłaściwy sposób, w jaki podawane jest umysłowi, całą skuteczność swą traci. *Non scholae sed vitae discimus*: przedewszystkiem powinno być hasłem wychowania kobiecego. Można mieć rozmaite w życiu zawody i zawodziki; jeden będzie się miało zawsze: czemkolwiek się jest, zawsze trzeba być kobietą, żoną, matką, gospodynią i — obywatelką. O to wszystko właśnie dbano w Puławach. Księżna Izabella kładła wielki nacisk na naukę języka, literatury i dziejów ojczystych; ale kształcono dziewczęta usilnie także we francuzczyźnie i pod tym względem nic się od tamtych czasów ani na lepsze, ani na gorsze nie zmieniło. Metoda ćwiczeń pisanych, w zakresie łaciny stosowana do chłopców, dziewczętom dawała się we znaki przy nauce języka francuzkiego. Dobry układ, uprzejmość, niezbędny wdzięk stanowiły również dyscypliny pedagogiczne. Oczywiście nauka tańca i muzyki, taksamo, jak dziś, była i wtedy konieczną; zdolniejsze panielki Norblin uczył malowania. Każda musiała umieć robotki damskie; a doprowadzano je niekiedy w Puławach do prawdziwej doskonałości. Świadczą o tem obrazy, dywaniki i antependya znajdujące się do dziś dnia w kościele puławskim.

Pensyonatem żeńskim zawiadywała p. Berna-towiczowa, matka powieściopisarza, a żona pełno-

moenika Czartoryskich do zarządu dóbr. O nazwiska nauczycielek cudzoziemek łatwiej, niż o nazwiska Polek. W literaturze i historii ojczystej panienki korzystały z wykładów nauczycieli młodzieży męskiej, jak Książnin, który był na stałym etacie Puław, jak Zabłocki, późniejszy ksiądz, jak Karpiński, ochmistrz Dominika Radziwiłła, oddanego pod ster i zwierzchnie oko księcia generała, jak wreszcie pułkownik Ciesielski, wychowawiec księcia dama Jerzego, człowiek wielce szanowany przez Czartoryskich.

Jak chłopcy tak i dziewczęta uczące się w Puławach są dziećmi albo rodzin zaprzyjaźnionych, albo też klientów Czartoryskich, sąsiadów, urzędników i officyalistów. Do dziś dnia jeszcze w tem nieocenionem archiwum krakowskiem przechowywała się korespondencja wychowawek puławskich z samą opiekunką i innymi osobami. P. Dębicki podaje liczbę panienek, które otrzymały wychowanie i wykształcenie w Puławach, na trzydzieści. Zapewne było ich więcej, lecz ślady po nich są albo nieodszukane jeszcze, albo też się zatarły. Nad wszystkimi jaśnieje Zofia Matuszewiczówna, ukochana obojga księstwa, córka posła na sejm czteroletni, a późniejszego ministra za księstwa i królestwa, z Puław wydana za Kickiego. Z dwóch sierot Dzierżanowskich, przygarniętych przez księżną Izabellę, jedna oddała rękę rodzonemu jej synowi Konstantemu, już jako wdowcowi po Radziwiłłównie, druga została panią Rautenstrauchową. W Puławach wychowywała się matka pani Tańskiej, i cudzoziemka p. Bardeleben, późniejsza pani Boboska. Nazwiska Dębickich, Drohojowskich, Humickich, Morskich, występują na wykazie wychowawek puławskich. Cudzoziemka Cecylia Bejdall, staje się przyjaciółką rodziny i w późnej starości doznaje siostrzanej opieki od nieszcześliwej Maryi Wirtemberskiej, której listy ¹⁾ świadczą o całej rzetelności stosunku. Niepodobna tu nie wspomnieć i o pannach Narbuttównach, które jeszcze w Wołczynie i w Pałacu Błękitnym i w Powązkach były wychowanicami i przyjaciółkami rodziny. Jedną z nich wyszła za późniejszego kasztelana Dembowskiego. Podczas nieobecności księżny ta dawna jej wychowawca była jakby jej *altera ego*; zawiadywała i rządziła wszystkim. Przywiązanie najszczerze łączy obie istoty, zacierając różnicę i wiek i materialnego społecznego stanowiska. Księżna Izabella spowiada się przyjaciółce ze swych wrażeń, najczęściej już smutnych, ze swych zamiarów i pragnień serdecznych; chciałyby już na życie całe zatrzymać ją przy sobie. „Co moje to i twoje”—pisze do kochanej Dembowskiej. „Wiesz, jak serce moje pragnie, abym była użyteczną dla swoich blizkich”—i skupuje dla niej sprzęty do domu, marzy o zatrzymaniu jej nazawsze w Puławach. Kiedy ją smutek ogarnie, także ma ucieczkę gotową w Dembowskiej: „Teraz moje najlepsze momenty są, kiedy sama jestem i o Bogu myślę.”

Dwór puławski zwanó współcześnie i później jeszcze, kiedy zostało po nim tylko wspomnienie— „Atenami polskimi.“ Nazwa ta zawiele obejmuje, ale nie jest nierzetelną. Wszystko, co się do światła garnęło, a powietrza w płuca zaczerpnąć chciało, śpieszyło do Puław. Panująca tu atmosfera myśli i uczuć, dobroczynny wpływ wywierała i na serca oddane żalosci i na umysły szarpane zwątpieniem. Dwaj bracia, politycy w każdym calu—mieli swoje „familiję“ polityczną; książę Adam Kazimierz, człowiek więcej do togi i biretu, niż do pancerza i hełmu, miał swoje „familiję“ intelektualną, ścigał do Puław i sadowił przy sobie ludzi światłych i szerzących światło czy-to siłą talentu twórczego, czy też wiedzą, pamięcią i wymową.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego wieku Warszawa stanisławowska była rozbita, Kraków ani nawet marzył o dzisiejszem swójem stanowisku, Wilno czekało na organizacyję uniwersytecką i Józefa Zawadzkiego, a Lwów uczęszczał na bale namiestnika d'Este; do Puław więc, przeszłych tymczasem pod panowanie austriackie, przeniosły się na lat kilkanaście muzy-

polskie. Trudno dziś wyliczyć tych wszystkich, którzy w Puławach znaleźli gościnność i odpłacili ją żywą potoczną działalnością umysłową. Przypomnieć tylko można prócz Książnina, Zabłockiego i Karpińskiego, jeszcze stałe osiadłych Piramowicza i Grodecka, z których pierwszy objął następnie probostwo w Kurowie, a drugi po 20-letnim pobycie u ojca dostał profesurę w Wilnie od syna, jako kuratora szkół wileńskich. X. Siarczyński, sekretarz wielkiego sejmu, był kaznodzieją i kapelanem dworu. X. Koblański uczył historii polskiej wraz z zacnym Ciesielskim. Po Grodku objął zarząd pięknej biblioteki Karol Sienkiewicz, a obowiązki te poniósł ze sobą na obczyznę. Niemcewicz przebywał tu często jeszcze jako młody adjutant, od samego zaś powrotu z Ameryki był przyjacielem domu. Paweł Woronicz, poznany przez księcia dopiero w tem stuleciu, podczas dłuższego pobytu, uświetnił Puławy szczerą a równie wzniosłą jak smutną poezją swoją. Do owej familii księcia Adama należeli jeszcze Kajetan Koźmian, Kazimierz Soroka, Leon Dembowski; wszyscy oni zachowali o Puławach najmilszą pamięć i utrwalił ją we wspomnieniach dla historii oświaty i obyczaju narodowego prawdziwie szacownych. O uczonych zagranicznych, jak Lhullier, Schow, Dupont de Nemours, wspomina w pamiętniku swoim książę Adam Jerzy. Jako nauczyciel syna księcia Konstantego przebywał w Puławach Krystyn Łach Szyrma. Miłośnik nauki i uczoności Generał Ziemi Podolskich usiłuje ścignąć do Puław i Lelewela, ale mu się to nie udaje; demokrata już wówczas chce być i pozostać duchowo niezależnym; oporny dla ojca, w późniejszych kolejach życia staje się biegunowo przeciwnym synowi.

Prócz pałacu i wspaniałych ogrodów, prócz salonu, biblioteki i teatru istnieją naokoło Puław szkoły wiejskie, utrzymywane schładnie, prowadzone starannie, jak nie mogą być nigdy szkoły państwowe; istnieje ludowa kassa oszczędności i pożyczek; we Włostowicach wszystkie za życia wybitniejsi, czy to officjaliści, czy włościanie, otrzymują po śmierci tablice pamiątkowe. Księżna Izabella zachodzi do chat wiejskich i dzieci ze sobą prowadzi: choroba, bieda, cierpienia znajdują zawsze gotową u dworu poradę, pomoc, pociechę. Wsie Czartoryskich odznaczają się porządkiem schładnością, spokojem. Posiadacz tych obszer-nych włości myśli już nawet o czynszach; nie wytrwał wprawdzie w zamysłach, ale okoliczności nieprzyjemne wstawiają się za nim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg.)

Bywali tam tacy, którzy czuli się, jak u siebie, pozostając na poufalej stopie z gospodarzem domu, ale byli i tacy, których atmosfera hrabiowskiego salonu onieśmielała, wyprężała w nich wszystkie zmysły; którzy nie wiedzieli, co z sobą począć, jak stać, gdzie usiąść, do kogo się zbliżyć. Poznać po nich było nowicyuszów salonowych, uważających zanadto na wszystko, a najbardziej na siebie; tym zawsze zawadzał w rękach kapelusz, a jeszcze więcej filizanka z herbata, którą trzymali, jakgdyby ćwiczyli się w ekwilibryście.

Hr. Janusz połowę wieczoru na swoich rautach spędzał na powitaniach, a drugą połowę na dziękowaniu i przypominaniu następnej środy.

Hrabi Fryderyk przyrzekł wygłosić kilka nieznanych utworów swojego ojca—mówił każdemu dla większej zachęty; hr. Fryderyk miał bowiem szczęście urodzić się synem poety, co nie

każdemu hrabiemu się udaje, i miał passyją do deklamacyi, za pomocą której popularyzował siebie i pośmiertną spuściznę swego ojca. Na każdym niemal wieczorze u swego kuzyna hr. Janusza, opierał się o stolik lub krzeselko i z wielką affektacyją wygłaszał długie, klasyczne wiersze, podnosząc głowę coraz wyżej i głos wyęzając aż do ochrypnięcia. Zamykał przy tem oczy i przybierał minę ewangelickiego kaznodziei, nastrojony zawsze na ton bardzo patetyczny przy początku swoich deklamatorskich popisów. Zdawało mu się, że powtarzając rymy swojego rodzica, jest poniekąd sam ich twórcą i że odziedziczył zarówno talent, jak nazwisko, herb i majątek po nieboszczyku.

Antagonistą i rywalem hr. Fryderyka na tych zebraniach bywał młody człowiek o niepozornej powierzchowności, nazywany krótko Czeczotką, który głosu nigdy inaczej nie zabierał, tylko gdy mu pozwolono w towarzystwach mówić wiersze; był to rodzaj pozytywki deklamacyjnej, wiecznie nakręconej, wiecznie gotowej terkotać cichym, monotonnym głosem z pamięci, na wyrywki, cały repertoar rymowany, począwszy od „Czarnego szalu“ w minorowym, a „Legendy pierwszej miłości“ w majorowym nastroju, aż do ulotnych wierszyków z *Kolców* i *Kuryera Święteckiego*.

Co środa hr. Janusz sakramentalnem zaklęciem:

— Teraz może pan Czeczotka będzie łaskaw powiedzieć nam co ładnego—wywoływał na środek salonu bladego młodzieńca w *pince-nez*, z szapoklaskiem w rękę i otwierał upusty jego deklamacyi, której najcierpliwszi nie mogli nigdy do końca wysłuchać. Pan Czeczotka z przybraną dystynkcyją przestępował z jednej nogi na drugą i miarowym ruchem wahał się przy zegarze zwracał głowę raz w prawą, drugi raz w lewą stronę; spozierał przy tem dokoła z taką „non-szalonyją“, jakgdyby każdego z obecnych pytał wzrokiem po kolei:

— Słuchasz i dziwisz się, prawda?... ja mógłbym tak płynnie recytować cudze wiersze do jutra rana; ale bądź spokojnym, dziś skoncuję zaraz po północy.

To urozmaicenie programatów na rautach hr. Janusza nie należało do najlepszych pomysłów gospodarza; zdawało mu się, że jego gości niezmiernie zajmuje językowa szermierka hr. Fryderyka z p. Czeczotką, z których żaden nie chciał ustąpić rywalowi ostatniego efektu i że salon artystyczno-literacki nie może się obejść bez deklamacyi.

Po każdym wieczorze gospodarz domu najpilniej wpisywał do swojej kontroli nazwiska wszystkich gości, którzy byli na rautcie; zaproszonym nieobecnym dawał kreski czerwonym atramentem, prowadził dokładną statystykę swoich znajomych, podkreślał, sumował, klasyfikował na stany, zawody, wpisywał rozmaite uwagi i noty w osobnej rubryce przy swoich gościach i prowadził szczegółowe akta tych rautów. Przy nieboszczykach, którzy „z powodu śmierci byli przeszkodzeni“ bywać na jego zebraniach środowych, stawiał czarny krzyżyk i datę zgonu.

Z roku na rok przenosił tę kontrolę, z manją kolekcjonisty, któremu chodziło o to głównie, by wszystkie głośniejsze nazwiska, wszystkie wyróżniające się czemkolwiek osobistości, wszystkie słońca, gwiazdy, gwiazdeczki, nawet błędne ogniki, przesunęły się przez jego salon.

Niewinna ta słabostka miała o tyle dobrą stronę, że przyczyniała się do wytworzenia pewnego ogniska inteligencyi i podawała sposobność zetknięcia się rozmaitych żywiołów na gruncie zupełnie neutralnym. Hr. Janusz nie zaliczał się bowiem do żadnego skrajnego stronnictwa i swoich gości nie dobierał według barwy i obozu.

Romuald należał do stałych bywalców na środach hr. Janusza; tworzył on około siebie najliczniejszą zwykłe i najbardziejżywioną grupę, która najdłużej pozostawała na każdym rautcie. Nazywano ją „grupą sensatów.“ Kupiło się tu wszystko, co na zebraniach tych przedstawiało jakiś interes, lub ki runek publicznej pracy.

Lacki znajdował się w swoim żywiole, on, zwykle małomówny w salonie swojego teścia,

zmieniał się tu nie do poznania, ożywał, nabierał rezonu, prowadził dyskusję często bardzo gorącą, był innym zupełnie człowiekiem, którego słuchano z natężoną uwagą.

— Coby to za poseł był z tego Lackiego! — mówiono — takich ludzi w parlamencie potrzeba.

— A na katedrze professorskiej! — wtręcali inni — mało równych sobie znalazłby w uniwersytecie. Szkoda tylu zdolności.

Starzy przysiadali się najbliżej Romualda i twierdzili, że bez parlamentu i katedry zrobi dużo; u nas niema szerokiego pola dla wybitnych inteligencji, ale każda zdolność, każda energia może sobie znaleźć zakres właściwy do działania.

— Przy najbliższej kadencji trzeba go będzie wybrać radcą Towarzystwa — szeptano sobie w kółkach obywatelskich. — Tęga głowa, przyda się nam.

— I taki człowiek jest zięciem Fiszbauma! — mówiono w innej stronie.

— To i cóż!.. właśnie dobrze się stało. Inteligencya połączona z kapitałem — najlepsza kombinacya.

— No, tak, ale zawsze ten teść nie bardzo pasuje do takiego zięcia; mało między nimi wspólności. Fiszbaum uczciwy człowiek, ale człowiek nowy, kosmopolita, bez tradycyi, bez tej solidarności ze społeczeństwem, którą wyrabia i krew, i rassa, i całe wieki wspólnej doli i niedoli. W milionach swoich widzi cały cel życia; filister i timokrata, nie zrozumie się nigdy z człowiekiem wyższych, szlachetniejszych idei, gdy tylko egoistyczny interes stanie pomiędzy nimi.

Była i opozycya; przewodniczył jej niejaki Woliński, redaktor zjadliwego pisemka, które wypowiedziało walkę wszystkim, co po jego stronie nie stali, a zwłaszcza plutokracy i nowym żywiolom w społeczeństwie. Znany był z ciętego pióra, którem klął wszystko i wszystkich według swojego widzimisię i chwilowego usposobienia. Nosił rozczochraną czuprynę, ciemne okulary, sekata laskę, na salon hr. Janusza przychodził w pomiętym fraku, bez rękawiczek, z baranią czapką w rękę, i chociaż nie lubił arystokracji, na hrabiowskie zaproszenia spieszył jeden z pierwszych.

Zwykle z boku przysłuchiwał się rozprawom, prowadzonym w grupie sensatów, aby potem krytykować zasłyszane zdania i poglądy.

— Wszystko to piękne słowa tylko — mówił do swych stronników — gadanina i nie więcej. Dmuchnąć w to, a jak plewa się rozleci. Ten Lacki głowę im zawraca. No, a co to jest pan Lacki?... Pan Lacki jest zbankrutowany szlachcic, który się ożenił z bogatą bankierówną; przewodzić mu się chce teraz nad nami. Kto stoi za panem Lackim?... no, kto?... za panem Lackim stoi Fiszbaum, meches; a co wart jest człowiek, który z mechasami trzyma?... ja nie dałbym za wszystkie jego piękne słówka ani trzech groszy. W przyszłym numerze „Ojcowizny” przeczytacie mój artykuł w tej kwestyi, żeśmy nie powinni się dawać tumanić frazeologom. On mi tam wyjeżdża z kółkami rolniczymi, z wzajemnem ubezpieczeniem ziemian, z amelioracyami rolnymi; to dla mnie nie nowina. Ja to wszystko projektowałem już przed nim. Popierałbym, gdyby z tem wystąpił kto inny, ale nie zięć pana Fiszbauma; ja do zięciów panów Fiszbaumów nie mam zaufania, i kto mi co zrobił... Jak mi się podoba, zerżnę go tak, że z miejsca nie wstanie.

Od kilku tygodni w grupie sensatów rozbie-rano kwestyą potrzeby osobnego organu, któryby wziął w obronę interessa ziemiaństwa i ludu; projekt nowego dziennika stał na porządku dziennym.

Romuald należał do zwolenników projektu.

W ścisłjszem kółku, złożonym z kilku obywateli, jednego adwokata, dwóch dziennikarzy i jednego ex-redaktora zastanawiano się nad szczegółami przedsięwzięcia i ułożeniem programu dla nowego pisma.

Narady w tym przedmiocie odbywały się przy-ciszonym głosem, w jednym kącie sali, z zachowaniem potrzebnych ostrożności, aby przed cza-

sem nie zepsuć sprawy, wymagającej poważniejszej rozważki.

— Gdybyście panowie zgodzili się na mój tytuł — mówił Romuald właśnie do swoich towarzyszy, otaczających okrągły stolik na uboczu — mogliśmy rozpocząć pierwsze kroki i postarać się o koncesyja.

Wysoki, chudy mężczyzna z bokobrodami szpakowatemi, z cieniutkim wąsem i kneblikiem około wężkich ust, odsłaniających szereg białych, równych zębów, z miną arystokraty, dystyngowanego w ruchach i mowie, odchrząknął i zaczął mówić:

— Proszę o głos. Przedewszystkiem, panowie, sądzę, że zaczynamy gmach budować od szczytu. Chcemy mówić o tytule pisma, a dotąd nie zgodziliśmy się całkowicie na jego programat. Nie mam wielkiego prawa zaliczać się do arystokracji, ale wyznaję, że nie mogę odmówić jej racyi bytu, jak to czynią dzisiejsi przewodnicy postępu, i skoro istnieją wielkie rody, skoro istnieje jeszcze, Bogu dziękować, większa własność, trzeba by się z tem liczyć; a to właśnie w programacie projektowanego przez szanownego pana Lackiego „Czynu”, jest dla mnie punktem zamało wyjaśnionym. Skończyłem.

Romuald potarł czoło ręką i, wahając się chwilę, odparł:

— Kwestya postawiona przez pana Jacińskiego zdaje mi się być między nami od początku rozwiązana. Moje poglądy w tej mierze są panom dobrze znane: za najwyższą arystokracją, uważam arystokracją umysłową, rodowej przynależności tylko znaczenie przypadkowe. Nie widzę potrzeby, w dzisiejszych warunkach naszego społeczeństwa, wysuwania i podpierania pewnych kastowych przywilejów, pewnego wyróżniania jednej warstwy z tytułu jej praw wczorajszych, których niepodobna generalizować dla ogółu i zabezpieczać na jutro, które niewiadomo, co przyniesie. Mówiłem panom, że nie jestem wcale zwolennikiem starych podziałów na arystokracją i demokracją według pochodzenia, bo ta teoria w praktyce więcej złego, niż dobrego przyniosła. Proszę mnie wszelako dobrze wyrozumieć; wartość jednostki społecznej jest dla mnie miarą, według której oceniam całe stronnictwa i warstwy społeczne.

Człowiek zły albo dobry, mądry lub głupi, pożyteczny lub szkodliwy, a do tych ostatnich zaliczam i pasożytów bezczynnych, oświecony lub ciemny, — stanowi, mojem zdaniem, jedyną racjonalną różnicę, którą w społeczeństwach uwzględnić należy... Sam tytuł i pochodzenie, choćby najświetniejsze, nie zrównoważą braków moralnych, humanitarnych, i cywilizacyjnych, w jednostce zarówno, jak w całych grupach społecznych. Co do tak zwanych większych i mniejszych własności, o których pan Jaciński napomknął, sądzę, że najwłaściwiej-by było uważać je za kwestyę ekonomiczną i traktować ze stanowiska ekonomii, a nie jakiejś socjologii, nie wiązać ich niepotrzebnie z kwestyą rodową, nie bronić, tak samo, jak nie potępiać, ze względów interesu tej lub tamtej klasy, ale uwzględnić w niej przedewszystkiem interes i pożytek całego kraju w danych warunkach. Mogę się mylić, jednak zdania mojego nie ukrywam, jak panowie widziecie; wyjawiam je otwarcie, bo pragnąłbym, ażeby „Czyn” był organem jednego stronnictwa, stronnictwa ludzi czynu i dobrej myśli.

Zaledwie słów tych dopowiedział z pewnym zapałem, podsadkowaty brunet z twarzą szeroką, otwartą, rozpromienioną, rzucił mu się na szyję i ścisnąć go zaczął, wołając:

— Romualdku, bravo!... ślicznieś powiedział, bravo!... z pod serca mi wyjaśnił każde słowo. Daj buzi. To jest szlachetna abnegacya *pro publico bono*, bo tak, jak ciebie rodzi hrabianka Potorska, tak mnie, jak ci wiadomo, Kleszczanka..

Nie zdołał dokończyć, bo go odsunęli inni, cisnąc się do Romualda, by mu powinszować takiego wyznania wiary — i śmiało wygłoszonych poglądów; tylko wysoki jegomość z lekkim uśmiechem pozostał na miejscu i biorąc pod ramię potomka Kleszczanki nachylił się ku niemu i rzekł półgłosem:

— Panie Słucki, podziwiam pański entuzjazm, choć go, niestety, tym razem podzielać nie mogę. W artykułach pańskich przywykłem czytać poglądy i zdania, które więcej przemawiają do mego przekonania, niż wywody pana Lackiego, tak wymownie przed chwilą wypowiedziane, a z takim zapałem przez szanownego pana przyjęte.

Słucki zrobił minę człowieka zbudzonego ze snu.

— Jakto?... pan radca przypuszczasz...

— Przypuszczam, że dałeś się pan porwać elokwencyi naszego oratora, który mówił ładnie, ale nie tak, jak potomek hr. Potorskich po ką-dzieli mówić powinien.

— No, to prawda, tak nie mówił.

— Powiem nawet, że ten liberalizm w jego poglądach — ciągnął dalej pan radca powoli, z naciskiem na każdym wyrazie — wydaje mi się cokolwiek...

— Tak, cokolwiek jest... ale tylko cokolwiek...

— Za krańcowy w ustach pana Lackiego.

— A tak, tak... w jego ustach jest trochę za krańcowy — powtarzał Słucki, jak echo, ale z wyrazem zupełnie szczerzego przekonania za Jacińskim.

— Z drugiej zaś strony nie można się dziwić.

— A prawda, że nie można się dziwić?...

— Nowa sfera, nowe stosunki, nowe związki rodzinne musiały...

— Tak, związki rodzinne musiały...

— Wpłynąć na takie zboczenie dawniejszych.

— Dawniejszych...

— Przekonań pana Lackiego — kończył dalej chudy jegomość.

— Rzeczywiście — podchwycił Słucki — rzeczywiście; uważałem to samo; ale jednak z tem wszystkiem to, co powiedział...

Jaciński nachylił się bardziej do ucha Słuckiego i przerywając mu, dodał:

— Funta kłaków nie warte.

Słucki jedno oko zmrużył znacząco i uśmiechając się, powtórzył:

— A w gruncie rzeczy nie warte, ale...

— Żadne ale!... i jeżeli „Czyn” miałby być w tym duchu redagowanym, to lepiej, żeby nie zaczął wychodzić.

— A rozumie się, lepiej, żeby go nie wydawać.

— Widzisz pan tedy, kochany panie Słucki — konkludował pan radca — że się nadto pośpieszyłeś ze swoją gratulacyą, ale z pana zawsze jest entuzyasta w gorącej wodzie kąpany.

— O, to prawda, ja zawsze jestem entuzyastą!

I Słucki wąsy pokręcił i czuprynę przegarnął zadowolony z tej opinii.

W tejsamej chwili z drugiej strony zbliżył się do niego mężczyzna z krótko strzyżoną brodą, siwą zupełnie, o twarzy zmiętej i zmarszczkami porysowanej, sztywny, w surducie czarnym zapiętym pod samą brodę, i biorąc go za klapę od fraka, rzekł:

— A co, panie Słucki?... tego powiedział?... w tem, panie, był programat pisma i wyznanie wiary.

Słucki się skrzywił.

— No tak, ale mówił nie jak syn hrabianki Potorskiej — zaczął, przypomniawszy sobie zarzuty Jacińskiego.

— To i cóż z tego?... mówił jak rozumny człowiek, jak dobry obywatel.

— No, tak mówił, to prawda.

— O, ja widzę z tego, że wasz „Czyn” może być dzielnym organem; spodziewam się, że w każdym numerze będzie pański artykuł wstępny. W takim piśmie warto pracować!

— Pewnie, że warto.

— Szczyć się wam Boże, od jutra zaraz zacznę dla was prenumeratorów werbować.

Słucki starszka objął w ramiona i całując go w oba policzki z rozrzewnieniem, przerwał mu:

— Bóg zapłać, Bóg zapłać, ojciec kochany!... liczymy na wasze względy i poparcie. Przecież wiemy, nie od dziś, jak popieracie każdą sprawę publiczną.

Uścisknęli się i rozeszli; przyszedł współpracownik „Czynu” podszedł znowu do Romualda i rozgrzany ponownie ostatnią rozmową, wrócił do roli entuzyasty, zapomniawszy o zarzutach pana radcy Jacińskiego, które go na chwilę wykoleiły

z jego przekonani o słuszności argumentów Laskiego.

Romuald rozmawiał teraz pociętu z mecenasem Rotowiczem, mężczyzną około lat czterdziestu, ujmującej powierzchowności, bystrego spojrzenia, rozumnych siwych oczu, który znanym był zarówno w kołach literackich jak i prawniczych z wymowy, sprytu i inteligencji. Łączył on w sobie temperament literata z trzeźwą logiką jurysty, a zdolności swoje spożytkowywał na dwie strony, służąc Temidzie zarówno, jak i literaturze.

— Czy nie działasz pan trochę za pośpiesznie—mówił w tej chwili do Romualda—rozpoczynając układy o nabycie koncessyi „Epoki,” zanim się zdecydowała sprawa przyszłej redakcyi „Czynu” i funduszków pisma?

— Wszystko to chciałbym pogodzić jednocześnie; szkoda czasu na przewlekanie — brzmiała odpowiedź Romualda — jutro, albo pojutrze zaproszę panów na naradę ściślejszą do siebie. Chciałbym przeto wiedzieć już cośkolwiek pewnego. Jak pan sądzisz, ile mogą zażądać za koncessyą „Epoki?”

Rotowicz się uśmiechnął.

— Zażądać mogą pięć, dziesięć tysięcy, ale dostaną tysiąc.

— Dla czegoż tak mało?

— Dla tego, że koncessya na pismo, które jeszcze świata Bożego nie widziało, a która za kilka tygodni wyexpiruje, więcej nie warta.

— Dajmy im dwa tysiące.

— Na co?

— Żeby się nie zbyt długo targowali.

— A cóż to szkodzi potargować się; bez targu niema kupna.

— Chodzi mi o zwłokę.

— *Festina lente*, panie Lacki; i tak zyskujemy na czasie, nabywając koncessyą już wydaną. Starania o nową trwałyby trzy razy dłużej.

— W każdym razie proszę pana skończyć układy jutro lub pojutrze w moim imieniu. Sprawę tę biorę na własne ryzyko.

Rotowicz głowę skłonił na znak zgody, mówiąc z uśmiechem:

— Ah, skoro wsiadamy w extra-pociąg, możemy jechać całą siłą pary.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Października 1887 r.

Champfort i jego sprawiedliwa uwaga. — Zastosowanie jej do tego, co się tu dzieje. — Powrót letniej emigracyi do miast. — Nowy wrzątek. — Mobilizacya. — Manifest hr. Paryza. — Wrażenie i skutek. — Książka księcia Napoleona *pro domo sua*. — *Deputat*, powieść p. Claretie. — Sprawa syna Schnäbelego. Ułaskawienie. — Złobienie Francuza na granicy Lotaryngii. — Układy — Ustępstwo niemieckie. — Sprawa prawie skończona. — Systematyczne oszukiwanie kompanii assekuracyjnych. — Dr. Castelnau. — Człowiek złoty! — Słowo o kongresie stowarzyszenia literacko-artystycznego międzynarodowego w Madrycie.

(Dokończenie).

Książka księcia Napoleona wpadła do tego kotła, w którym robota politycznych mikrobow przygotowuje swoich uniwersalnych Terjaków. Był to nowy element i nowy orzech do zgrzyżenia, i proszę wierzyć, że nie skąpiono tu ani atramentu, ani papieru. Ten, jak zwykle, cierpi wszystko, ulega wszystkiemu, z równą oziębłością; należało więc książkę dać miejsce w tej kronice, nie rozszerzając się zbyt nad tem, co w sobie zawiera.

Z literatury bieżącej i z teatru niema nic dotąd, coby zasługiwało na szczególną uwagę. Z książek — a mam na myśli belletrystykę francuską — jest wprawdzie *Deputat* powieść p. Claretie, ale tu już trochę za daleko w przeszłość, abym jej dał miejsce w kronice, chyba, że *honoris causa* tylko; zresztą i *Deputat* p. Claretie to już okaz starego stylu — my to już wszystko zmieniliśmy. A chociaż dobrze i dobitnie autor maluje

wszystkie te szachry i matactwa wyborowe nowych pokładów, przecież to już *praeterita*. Było to jeszcze „anno Domini,” kiedy się głosowało pojedynczo na każdego kandydata; a dziś mamy już głosowanie o słynnym *scrutin de liste*, o kandydaturach zbiorowych, wielosobowych. To głosowanie niepodzielne na wszystkich kandydatów danego okręgu spotęgowało matactwa do ostateczności i manipulacyą wyborczą dawniejszą z gruntu wywróciło. Potrzeba nowej powieści, aby opowiedzieć sprawiedliwie tę nową Odyseję. To już zupełnie nowy proces, gdzie takie okropności, jakich ofiarą pada p. Verdier (kandydat umiarkowany), uważają się za drobne figielki, i gdzie takich Gaussów (kandydat radykalny), widzimy całe za stępy, walące na złamanie karku pod sztandarem *votum według listy*. Powiedzmy jednakże, że pan Claretie jest powieściopisarzem i stylistą bardzo znakomitym i wszystko, cokolwiek zpod jego pióra wychodzi, nosi na sobie cechę prawdziwego talentu. Można to czytać bez zgorznienia i bez nudy, a zaczyna to już być dzisiaj niezmierną zaletą w literaturze francuskiej, gdzie dwa są szkopy pisarskie: wybryki antireligijne i wybryki antimoralne; im większe bluźnierstwo, tem większa zasługa; im co sprośniejsze, tem większy talent.

W oczekiwaniu wybitnej nowości mamy tu całą wiązaną wypadków polityczno-socyjalnych. Jako wasz woźny przysięgły, przywołuję sprawy wedle porządku dat:

Sprawa syna Schnäbele (Schnébelé). Pamiętajcie, że ojciec, kommissarz policyi na jednej z kresowych stacyi Lotaryngii, pochwycony zdradliwie przez niemiecką żandarmeryą, uwięziony i sądzony, otrzymał nareszcie wolność, odsiedziawszy w kozie parę tygodni na reflexyi. Otóż syn jego, kilkunasto-letni student, niedosyć nauczony przykładem ojca, poszedł z podobnym, jak sam był, kolegą, przyklepać jakieś dziecinne plakaty na terytoryum dzisiaj niemieckiem. Schwytany, ma się rozumieć, nauczynku, odsiedział też samą ojcowską kozę — i stał się przedmiotem *ważnej* deliberacyi sądu głównego w Metz, który go potępił na wieżę i grzywny. Przecież depesza wczorajsza, z d. 30 Września z Berlina, taką przynosi wiadomość:

„Wskutek wyroku sądowego, zapadłego przeciw synowi Schnäbele’go, prokurator generalny w Metz podał do cesarza prośbę o ulaskawienie winnego. Dziś w wieczór odebrano tu rozkaz z Baden-Baden (gdzie bawi w tej chwili cesarz), bezzwłocznego wypuszczenia więźnia na wolność. Młody Schnäbele odjechał do domu dziś wieczorem pociągiem o godzinie siódmej.”

Sprawa, zwana: sprawą w *Vexaincourt*, albo *Roan-sur-Plaine* od dwóch sąsiednich kresowych gmin Lotaryngii, gdzie się wydarzył wypadek, jest daleko ważniejsza, bo w niej był jeden Francuz zabity i jeden raniony.

Właściciel ziemski na pograniczu Lotaryngii Francuskiej, niejaki p. Le Bègue, urządził u siebie polowanie, na które zaprosił kilkanaście osób. Po skończonych łowach, kiedy całe towarzystwo wracało już ku domowi, drogą wiodącą w pobliżu samej granicy niemieckiej, dały się słyszeć nagle trzy wystrzały, jeden po drugim, i dwóch myśliwych padło od kuli karabinowej: porucznik dragonów p. de Wangen de Geroldsäck i niejaki p. Brignon. Rana otrzymana przez pierwszego, powyżej kolana w prawą nogę, nie jest wcale ciężką; ale p. Brignon postrzelony w pachwinę, w trzy godziny po wypadku umarł z krwotoku wewnętrznego.

Pokazało się, że te strzały były sprawką niejakiego Kaufmanna, szeregowca z pułku pieszych strzelców, przykomenderowanego na pewien czas do straży leśnej w części Lotaryngii zabranej przez Niemców. Powód tego wypadku i tego zamachu na życie niewinnych ofiar dotąd jest jeszcze tajemnicą dla wszystkich osób przytomnych temu, co się stało; wrażenie, jakie sprawił zamach w Paryżu i w całej Francyi, a szczególnie w sąsiedztwie granicy niemieckiej — łatwo jest zrozumieć; przecież potrzeba oddać tę sprawiedliwość, że w ogólności prasa i publiczność francuska, zachowały się spokojnie i godnie.

Również wczoraj (30 Września) w wieczór o go-

dzinie siódmej, p. Münster poseł niemiecki w Paryżu, złożył wizytę urzędową p. Flourensowi, ministrowi spraw zagranicznych, i oświadczył mu urzędownie, że rząd niemiecki postanowił *proprio motu* natychmiast, nieczekając na wynik zarządzonego śledztwa i przebiegu sądowego sprawy, udzielić wdowie po Brignon’ie wynagrodzenie pieniężne, którego wysokość będzie ustanowiona później.”

To pokazuje, że Rząd Niemiecki dziś już uważa żołnierza Kaufmanna za winnego zabójstwa. Kaufmann pójdzie pod sąd wojenny.

Sprawa zatem powyższa uważana być może za skończoną. Mówią tu powszechnie, że tak szybkie rozwiązanie jest zasługą samego cesarza Wilhelma. Spodziewać się należy, iż ten wypadek posłuży do złagodzenia przepisów strażniczych na kresach, — przepisów zbyt może twardych i srogich — i sprowadzi uspokojenie z obu stron granicy.

Sprawa nakoniec *socyjalna*, ale nie socjalistyczna, sprawa doktora *Castelnau*. Jest to jedna z tych obrzydliwości kryminalnych, szczęściem, bardzo rzadkich, w których przestępca zastosowuje nabytek nauki nie do celów zbawienia cierpiącej ludzkości — ale do wykonania zbrodniczych zamachów — na życie, lub mienie bliźniego. Przypomniano w tej sprawie, zawiślanej dosyć, zbrodnię doktora Dela Pommerais, Leber’a; i tego było dosyć, zbyt znacznie, aby przerazić umysły następstwem, jakie może pociągać za sobą wykolejenie natury ludzkiej — opartej na nauce.

Na szczęście w sprawie d-ra Castelnau chodzi tylko o złodziejstwo. Aby przyswoić sobie wielki kapitał (około 300,000 fr.) wraz ze spółnikami zbrodni Dr Castelnau nie wahał się podstawić na miejsce ubezpieczonego barona von Scherer — jakiegoś biedaka, chorego śmiertelnie, i któremu, zdaje się, że nawet dopomóżono do prędszej wędrówki *ad patres!* Rzeczą prowadzono tak zręcznie, że angielskie towarzystwa ubezpieczeń, chociaż ściśle na gruncie i osobie sprawdzały fakt śmierci wrzekomego barona, niczego nie doszły i musiały zapłacić w całości sumę zabezpieczeniem objętą.

Dopiero później, w kilka czy kilkanaście miesięcy, wskutek tajemnego doniesienia poszkodowanemu towarzystwom ubezpieczeń i prokuratorzy, że Scherer prawdziwy żyje gdzieś pod innym nazwiskiem, rozpoczęto śledstwo, które trwa dotąd i które spowodowało uwięzienie d-ra Castelnau i jego współników, oprócz samego Scherera — *qui fugae se dedit* — oddał się ucieczce.

Ten dr Castelnau, który się zawsze podawał za przyjaciela ludu, stróża jego potu, surowego katona, — który pod przybranym imieniem *Lux* pisywał w dziennikach najskrajniejszej demokracji, uchodzi za człowieka czystego jak złoto! Teraz więc bracia i przyjaciele robią wszelkie usiłowania, aby uratować tego rozbitka. Jak krety, toczą teraz grunt tajemnie i głęboko. Czekajmy więc, co nam przyszłość pokaże: albo dowiemy się prawdy, albo pójdziemy z kwitkiem.

Mój kolega *Quis* w jednej ze swych ostatnich miłych pogadanek — wyraził żal, jaki mu sprawia zapomnienie o was ze strony stowarzyszenia literacko-artystycznego międzynarodowego (rewindykacya praw własności literackiej i artystycznej) i jego sekretarza generalnego Lermi-ny. Jako jeden z dygnitarzy tego towarzystwa mogę uspokoić każdego, co do pamięci Lermi-ny i mojej i reszty członków. Ale, że stosunek czę-stek tego ciała tłómaczy się jedynie zapomocą brzęczącego łącznika, który od śmierci Wacława Szymanowskiego wyszedł z pamięci waszej, więc i Lermi-ny zamilkł. W tej chwili właśnie to szanowne ciało, a raczej jego resztki — wyprawiają się na kongres do Madrytu — od was będzie to już zapóźno wyjeżdżać, bo narady rozpoczną się d. 8 b. m. Ja dobrowolnie zostałem na bruku paryżkim, bo zgromadzenie naukowe w Madrycie, znane pod nazwiskiem *Akademii* — oświadczyło, że milej daleko mu będzie przyjmować i podejmować u siebie znakomitych i znanych Francuzów, niż wątpliwych międzynarodowców. *De gustibus non est disputandum*. A chociaż żaden ze znakomitych bardzo Francuzów nie da się złapać na plewy, bo są to stare już doświadczone wróble —

odłączyłem się jednak od ciała towarzyskiego i jako prosty członek przynoszę słowo wyjaśnienia szanownemu *Quis'owi*.

PODRÓŻNICZKA ANGIELSKA

nad jeziorem Tanganyika.

(Dokończenie).

Wielka osada Udżydży, położona na wybrzeżach jeziora Tanganyika, opowiada podróżnemu przez sam swój krajobraz dzieje przeszłości. Kiedyś musiała tu być cicha i spokojna, dla położenia swego kwitnąca wieś afrykańska; kiedyś następnie musiała tu wpaść okrutna banda łowców ludzi i w części wymordować, w części porwać mieszkańców, wieś przytem spalić, a następnie na tym cmentarzu i na tych zgłiszczach osiedlić się i rozpuszczać ztąd zagony swoje w głąb kraju. Na kilka mil wokoło jest to pustynia bezludna, a sama osada nie ukazuje oku tych murzyńskich chat konicznego kształtu, które, swobodnie rozrzucone wśród drzew, tworzą wieś krajowców. Są to nagromadzone i skupione jak gdyby w fortecy, wielkie, czworokątne domy arabskie, z wazkami, jak strzelnice wysokie oknami, zbudowane według wzoru, który, niewiadomo dla jakiej przyczyny, nazywa się stylem świątyni Salomona. Są to smutne, posępne dla oka mieszkania ludzi, którzy też posępnymi, dzikimi być musieli. Wewnątrz ozdobne, często bogato, wszystkie te domy mają jakąś tajemniczość wschodnią: skryte przejścia i ganki; z okien widok albo wyludnionej, smutnej pustyni, albo wód jeziora, które przedstawia się wzrokowi zupełnie, jak morze, tak dla nieprzejrzanej gołem okiem rozległości, jak przez fale piętrzące się tak wysoko, jak bałwany morskie.

Jezioro jest szerokie na mil dwaście, długie na mil 130 do 140. Tylko w dzień bardzo pogodny, i z wysokości już znacznej, można dostrzedz przez lunetę zarys brzegów przeciwnych. Jak wszystkie wielkie wody podzwrotnikowe jest ono bardzo głębokie i mocno błękitne, a samotność otaczającej je pustyni podnosi jeszcze wspaniałą wielkość obrazu. Głębina jeziora jest niezbadana, są miejsca, gdzie łożyska, zapuszczona na długość 168 wędłów, nie dotyka gruntu.

Port Udżydży stanowi przystań dla znacznej liczby wielkich łodzi, których ładunkiem były niegdyś wyłącznie zbite kupa, jak bydło, ciała czarne—nieszczęśliwi jeńcy murzyńscy; dziś są to towary, przeważnie angielskie. Wszystko znaleźć tu można. Mrs Hore kupiła sobie w Udżydży lampę do nafty i parasol od deszczu, a mogła była nawet dostać modnych sukni i kapeluszy londyńskich. Mocne, duże statki, łodzie i baty, rozwożą te towary jeziorem po wielkich wsiach nadbrzeżnych, albo puszczając się z biegiem rzek, wpadających do jeziora, dostają się z niemi w głąb kraju, gdzie sposobem handlu zamiennego, otrzymują kość słoniową, drzewo sandałowe, i inne naturalne produkty tych krain pierwotnych. Jest to przecież tak dla statków europejskich, ale łodzie handlarzy ludzi napełniają się innym ładunkiem—biednym hebanem żywym. Pchają go bezlitośnie pod pokład, ile statek unieść może, a potem wiozą po modrych falach jeziora do skrytych, głęboko w ład wrzynających się zatok, gdzie już czeka kupiec, najczęściej Arab, i z kąd wychodzą potem te kordony—łańcuchy bydła ludzkiego, pędzone przez pustynie ku morzu, gdzie inne sępy czyhają na swój łup.

Choć osada Udżydży przedstawia wielki ruch handlowy, i mieści w sobie wszystko, co może stworzyć w środku Afryki byt wygodny, poeuropejsku urządzony, jest przecież miejscem mało zdrowym, na wschodni sposób zacieśnionem i w nieporządkach, w brudach tonącym. Kapitan Hore nie chciał też umieścić tam żony i dziecka, dla których stałe miejsce zamieszkania obrał na jeziorze, na małej wysepce Kawala. Mieści się

ona prawie wprost tej lazurowej przestrzeni wód; jest bardzo zdrowa, urodzajna, posiada dobrą przystań dla statków, wybrzeże, które możnaby uczynić dobrą tamą, sposobną do wyładowywania tam towarów, do zbudowania warsztatu statków, i gdzie urządzają się już wielkie składy. Ze wysepki podnosi się ku środkowi swemu w wyniosłość górzystą, wyżyny te posiadają nietylko zaletę niepospolicie pięknych, rozległych widoków, ale mają bardzo czyste i zdrowe powietrze. Wogóle cała wyspa jest zdrową, Anglicy zaludniają ją też coraz liczniej, zamierzając osiedlić się na niej wyłącznie i uczynić z niej stacją dla angielskiej flotyli jeziora, jak już kapitan Hore zrobił z niej stacją marynarki misyjarskiej okolic tamtejszych. Tu też zawiózł żonę, tu postanowił wznieść dom swój, rodzinny, a że poprzednio wszedł w przyjazne stosunki z królikiem wyspy, przyjęcie białej kobiety było uroczyste. Król Kawala z licznym orszakiem swoich czarnych—bosych i nagich dworzan i poddanych, wyszedł na jej przyjęcie na brzeg morza i wiódł ją jakoby w tryumfie w głąb wyspy, co ona opisuje wesoło, z uszczęśliwiającem ją uczuciem, że znalazła się nakoniec „u siebie.”

To „u siebie” była to na wzgórkach między krzakami cierni wzniesiona chata z gliny i chrustu, zawierająca dwie izdebki. Jedna miała 14, druga 8 stóp kwadratowych, drzwi były plecione z wici, trzymające się na zawiasach ze sznurka. Kawalek szpagatu służył za zamek, a jedynym sprzętem, jaki oczekiwał tu gospodynię, był stół drewniany, pozostałość po jakimś misyjnarzu. Łóżka przywożono ze sobą, jak i potrzebne narzędzia, paki od rzeczy zastępowały krzesła, a jedyną niedogodnością, na jaką skarży się pani tego domu, są dziury w ścianach, przez które śledziły ją wciąż oczy ciekawych i niezupełnie jeszcze sucha podłoga z ubitej gliny.

Ale mąż postarał się prędko o rogoże, plecione z miękkiego łyka tamtejszych pnących się roślin, dziury kazał naprawić i—apartament był urządzony!

Kobieta zaczęła się w nim rozgaszczać, rozpakowywać i, kreśląc wspomnienia tej pierwszej chwili pobytu w afrykańskiej swej chacie, pisze: „Serce moje było pełne wdzięczności dla Boga, że nas tu doprowadził zdrowych i całych.”

„Na miejsce naszych prac” dodaje i od dnia przybycia swego tam, gdzie rozpalonem zostało jej stałe ognisko domowe, Anna Hore staje się czemś więcej jeszcze, niż dobrą żoną, która śpieszy z mężem wszędzie, gdzie go los powoła, która kocha nie za używanie życia w wygodach i przyjemnościach, a uczuć obowiązku, miłości małżeńskiej nie odmierza według ilości otrzymanego w zamian szczęścia. Ta odważna, dobra, pobożna kobieta, ma umysł i serce otwarte i dla wyższych jeszcze obowiązków, dla wyższych jeszcze prac ludzkości i jako jednostka cywilizowanego społeczeństwa, poczuwa się do powinności podnoszenia krajowców z ciemnoty i barbarzyństwa, z niewiadomości o świecie — o Bogu i duchu!

Samo poczucie się do takich obowiązków, samo ich pojęcie oznacza już istotę szlachetną, a przy wielkiej prostocie i spokoju Anny Hore w wyrażaniu tych uczuć swoich widać, że była w nich nawskroś szczerą. Żadnej deklamacji, żadnych gorących wykrzyków i obrazowania na efekt. Przyznaje się nawet, że serce jej nie było zawsze przejęte równem uczuciem miłości bliźniego dla tych biednych istot czarnych, których wady i dzikie nawyki odpychały ją nieraz od nich, i pisze w dzienniku swoim już na wysepce Kawala: „W czasie podróży patrzyłam na krajowców z pewnym rodzajem obojętności; nieraz ich braki moralne sprowadzały na nas przykrości, nieraz cierpieliśmy z ich powodu i gniewaliśmy się na to. Ale teraz już tak być nie może... Mamy przed sobą dzieło misyjne: ten lud powinien być jakoby naszymi owieczkami—kochać go i oświecać—to nasza powinność.”

Szczególniej też gdy się już nauczyła języka krajowców, to jest po roku pobytu na wyspie, gdy zapoznała się osobiście z ludźmi, oświecanie, nauczanie tych biedaków uważała za coś tak

obowiązkowego, z czem „nie wolno jej było zwlekać.”—„Mój mąż—pisze — jako kapitan marynarki misyjnej zawiadującej jej sprawami, jej stanem, nie miał czasu tem się zająć, ale ja mogłam rozporządzać codziennie kilku godzinami czasu. Mężczyźni, kobiety, żołnierze, księża—wszyscy ludzie oświeceni jesteście w Afryce misyjnarzami i wszyscy mamy jedne obowiązki. Ponieważ mój mąż nie mógł, jak zamierzał zaraz z początkiem założyć szkoły chłopców, zrozumiałam, że jest moim obowiązkiem, otworzyć szkołę dziewcząt, nie zwlekając dłużej.”

I bierze się do tego z pewnym sprytem kobiecym. Króla znała; była już raz u niego w odwiedzinach, przyczem tylko spotkał ją wielki kłopot. Chciała zapytać o zdrowie królowej, lecz nagle spostrzegła, że nie wie której, bo znała tylko jedną, a było ich czterdzieści! Lecz teraz już wiedziała wszystko i była śmielszą. Pewnego poranku zeszła ze swego wzgórza, przebyła kolczaste krzaki, któremi było zarosłe i spuściła na dół ku wybrzeżu, gdzie rozciągała się wieś krajowców. Król Kawala siedział przed swoim pałacem pod namiotem z mat i zbliżyła się, aby mu złożyć swoje uszanowanie, przyczem zapytała: czy nie byłby rad, gdyby w jego państwie istniała szkoła? Przyjął to bardzo przychylnie i oświadczył, że będzie posyłał do niej swoje córki, których też była gromadka. Przyszły też nazajutrz w naszyjnikach i bransoletach miedzianych, w pół spódniczkach, utatuowane bardzo elegancko, ze spilkami drewnianymi w kędzierzawych fryzurach. Mrs Hore zaczęła wykład od pokazania im swoich sukni, przejrano całe jej zapasy taletowe, a wtedy zapytała, czy królowy chciałyby posiadać coś podobnego? Każdej uczennicy swojej obiecała dać czerwonego perkaliku na suknię, ale z warunkiem, że ją uszyje sama, co zostało przyjęte z wielkiem zadowoleniem i nazajutrz przyszło do szkoły szesnaście dziewcząt. Mrs Hore skroila szesnaście bluz i rozpoczął się zaraz kurs nauki szycia. W kilka dni uczennice jej odziane były po kostki i pisze, że szkoła „wyglądała bardzo dobrze.” Wtedy przyszła nauka pacierza, religii, coś jak nauka geografii i zawsze wspierana nauką szycia, nauka gospodarstwa domowego. Uczennice nie brakło, a król Kawala tak był rad z edukacji córek, że zaproponował kapitanowi Hore coś podobnego dla synów i chłopców wogóle. Ale uczniowie, przyszedłszy, zaczęli pytać: co dostaną? Nauczyciel odpowiedział, że naukę... i szkoła się rozeszła. Hore jednak był pomęczką wytrwały; uczniowie wrócili, a on wtedy wspominał tylko o nagrodach dla dobrych uczniów. Wystarczyło to, a zarazem wszczepiło w uczniów pojęcie, że oświata jest dobrem, o które ludziom starać się należy. Rozpoczęto przez przerywane w niedzielę lekcje, święcić na wyspie niedzielę; a ponieważ nie było nigdzie w bliskości księdza, zbierano się tylko w każdy poranek niedzielny na wspólne śpiewy i modły—do Wielkiego Ducha.

Kapitan Hore potrzebował oddalić się na kilka miesięcy, jeszcze w początkach pobytu swego na wyspie, i biedna „biała kobieta” została sama jedna między krajowcami, nie mając przy sobie żywej duszy białej, prócz dziecięcia. Ale odważne, dzielne serce biło w tej piersi niewieściej, i pisze ona o tej chwili:—„Cóż było robić?... Musiałam tak być... wiedziałam o tem z wczasu, że tak nieraz wypadnie...” i ten jeden rys jej charakteru już pokazuje nietylko mężstwo i hart ducha, ale rozum dostojny: wiedziała, jakie być muszą przejścia jej życia—wiedziała co ją czeka, gdy łączyła swoje losy z tym człowiekiem, którego zawód był ciężki i trudny—i gdyby to tak umiały reżonować wszystkie żony ludzi, walczących z losem—wszystkie żony ludzi niebogatych, którym mężowie nie mogli przysięgać na salony i wygody pańskie, ale którym one przysięgały: a iż cię nie opuszczę aż do śmierci... będę z tobą w trudach i próbach twego życia, w jego brakach i niedostatkach, mówiąca sobie rozumnie: cóż robić... wiedziałam, że tak być musi!..

Warto jest czytelnikowi poznać tę szlachetną, mężną postać Anny Hore, już nie dla ciekawości, jak się to żyje nad brzegami jeziora Afryki Środ-

kowej, ale jak się to żyje, gdy dusza jest szlachetna, a serce mężne i kochające?

Kapitan Hore wrócił szczęśliwie do domu, po kilku miesiącach nieobecności. Jeździł dla nadzoru budowy nowego statku, który nazwano: „Dobra Nowina” (Ewangelia). Że tu nazwa odpowiada treści celu, dla którego nowy bryk miał służyć, więc była dobrze dobrana; wogóle statki misjonarzy angielskich noszą takie nazwy symboliczne: „Nadzieja”, „Przyszłość”, „Jutrzenka.”

Powrót męża do domu był hasłem do wielkich robót i prawdziwego osiedlenia się rodziny na wyspie. Zbudowano sobie nowy dom, obszerniejszy, wygodniejszy, ale według miejscowej sztuki budowniczej; biją się mianowicie paliki, jak na płoty z chrustu, i ściany wyplatają się gęsto młodemi, elastycznymi gałązkami, jak u nas wierzbowe, narzuca się to glina, a gdy słońce afrykańskie wysuszy te ściany, chronią one nieźle od wiatru i chłodu, lub upału. Zaraz obok stanął drugi dom taki, dla podkomendnego officera i adjutanta kapitana Hore, a w dzienniku zaznacza się to z wesołą dumą, że „osada zaczyna ładnie wyglądać” i kobieta krząta się bardzo czynnie wśród tego światka swego. Zakładają się ogródki, sadzą klomby, zdobi się dom wewnątrz i zewnątrz, bo Mrs Hore ma to dobre przekonanie, że „oczy i umysł potrzebują tak pożywienia i odświeżania się przyjemnego, jak ciało.” A że w sercu mieszkał spokój, nieburzony przez zachcenia trudne do osiągnięcia, że tuż przy tem czystem, uczciwym sercu swoim miała ta dobra kobieta drogę sobie istoty, więc życie popłynęło jej strumieniem dni jasnych i wesołych, a czytelnik jej książki dowiaduje się z miłym uczuciem zadowolenia, że ani los, ani jej własne zesłabnięcie nie przyszło zmącić harmonii i szczęścia jej istnienia. Wydawca książki dołączył do dziennika listy, które pisywała do rodziny swej w Anglii, więc wiemy niemal po rok bieżący, że jej jest dobrze na świecie—że ona i mąż są zdrowi, że kochają się zawsze i pracują wspólnie, a dziecko, mały Jack, chowa się dobrze i rośnie z myślą, że będzie kiedyś żeglarzem angielskim, jak jego ojciec, a matka ubiera go też w strój chłopców okrętowych.

Dla dopełnienia obrazu kobiety dołożyć trzeba, że na te dalekie ziemie afrykańskie, gdzie jej mąż służy przeciw krajowi swemu, jego potędze i chwale, uniosła ona w sercu drogi obraz ojczyzny. W liście pisanym do rodziców 19 Września zeszłego roku, wśród radosnego opisu przyjmowania europejskiego gościa, Szweda, kapitana Glerup, znajduje się szczegół wzruszający. Kapitan Glerup obudził ją raz porankiem, zagrawszy jej na rogu myśliwskim, jako pobudkę, angielski hymn narodowy: „God save the Queen”, a ona pisze: „Nie trzeba wam dodawać, jakie łzy płynęły mi z oczu, gdy usłyszała nagle w głębi stron obcych to echo ojczyzny.”

M. Ilnicka.

Wiadomości z Medycyny i Hygieny.

Niemoc nerwowa (Neurasthenia).

(Określenie choroby, objawy, przyczyny i leczenie).

(Dokończenie).

Powiedziałbym, że, sam upór, narzekanie na chorobę sercową, obawa, chęć leczenia się w tym kierunku, niemożność dokładnego zdawania sobie sprawy ze swego stanu, niewiara w słowa lekarza — stanowią już objaw niemocy nerwowej. Choroba znacznie się jeszcze pogorsza, jeżeli się do niej przyłączy ból w okolicy serca. Wówczas jedynie badanie lekarskie za pośrednictwem wysłuchiwania i opukiwania wyrokować może o tem: czy mamy do czynienia z chorobą organiczną ścianek lub zastawek serca, czy też prosto ze

zmianami w innerwacji tego organu. Bardzo wybitnym i zarazem przykrym objawem u cierpiących na niemoc nerwową są zaburzenia w funkcji spania, przejawiające się, raz bezsennością, drugi raz znów uporczywą sennością. Niektórzy pacjenci mogą spać jedynie w nocy, we dnie zaś, chociażby najbardziej byli zmęczeni, nie zasypiają; inni znówu po najmniejszym zmęczeniu lub biesiadowaniu nie mogą zasnąć. Większość uzala się, że rano, nawet po spokojnie przespanej nocy, budzą się, nie pokrzepieni, lecz, przeciwnie, czują się ociężałymi i pozbawionymi sił. Przeciwnie znówu, inni przy każdej robocie doznają senności, a czytać mogą zaledwie kilka minut, poczem zapadają w głęboki sen. Niesłychanie rzadkim symptomatem, towarzyszącym tej chorobie, jest lunatyzm.

Bardzo wiele osób dotkniętych neurasthenią cierpi na tak zwaną niestrawność nerwową (*dyspepsia nervosa*), zasadzającą się na tem, że akt trawienia wywołuje u nich pewne, dosyć nieprzyjemnej natury dolegliwości, między którymi na pierwszym miejscu postawić należy zgagę, przesładującą chorych przez kilka godzin po zjedzeniu nawet najłatwiej strawnych pokarmów. Prócz tego doznają po cokolwiek obfitym posiłku napływu krwi i bólów głowy, zawrotów, ogólnego osłabienia, dalej mdłości, a nierazko i wymiotów; apetyt bywa raz wilczym, kiedyindziej znówu braknie go zupełnie; czasami, pomimo bardzo wielkiego uczucia głodu, podobni chorzy zjadają kilka kęsów i odsuwają jadło ze wstrętem; najczęściej cierpią na obstrukcyę, chociaż i biegunki nie są wcale rzadkością.

Ważnym bardzo objawem są zaburzenia w czułości, czyli inaczej tkliwości nerwowej. Ta tkliwość nerwowa bywa raz ogólną, kiedyindziej zaś tylko w pewnych częściach ciała się objawia, raz dotkniętymi są np. jedynie końce palców lub uszu, kiedyindziej całe okolice, jak grzbiet, kończyny górne lub dolne i t. p. Tkliwość ta jest na zmiany temperatury bardzo niejednostajną i pod tym względem zauważyć można najrozmaitsze zбочenia. Tu zaliczyć wypada bardzo dokuczliwy objaw, jakim jest swędzenie skóry—doprowadza ono chorych, pomimo, że skóra na pozór jest w zupełnie normalnym stanie, do rozpacz, —a także tak nazwane mrowienie w kończynach i krzyżu, bardzo nieprzyjemne.

Od czasu do czasu występują neuralgie, bóle nerwowe, najczęściej na twarzy tak nazwany *tic douloureux*, kiedyindziej w biodrach i udach (ischias) rzadziej już, i to wyłącznie u kobiet w piersiach (mastodynia).

Dobrze znanym symptomatem jest „osłabienie głosu”, które w samym początku cierpienia, nasamprzód, się pojawia. Chwilowo chorzy tracą głos w zupełności, doznają wówczas uczucia jakgdyby skrępowano im gardło, albo jakby im go zatkało, muszą robić wielkie wysiłki, aby wypowiedzieć swe myśli, przyczem głos jest nienaturalnym, zmienionym i wywołuje suchy, urywany kaszel. Beard sądzi, że niemoc nerwowa jest wyłączością amerykańskich mieszkańców; tymczasem możemy go zapewnić, że, niestety, i u nas wcale pokazała się liczba dotkniętych tem cierpieniem. Być może, że objawy są różne, może nie w tak wysokim stopniu rozwinięte, co zresztą zależnem jest od sposobu życia i obyczajów; lecz w każdym razie nie podlega wątpliwości, że wielkie miasta kontynentu, a między niemi i Warszawa pochwalić się mogą wcale pokazać cyfrą podobnego rodzaju pacjentek i... pacjentów.

Może w żadnej innej chorobie niema tylu stopni, co w omawianej; bardzo wiele ludzi chodzi z tem cierpieniem, nie zwracając uwagi na swój stan, w początkach, wcale niedokuczliwy, niemniej przeto, ze smutkiem wyznać należy, że cierpienie to staje się coraz częstszem, wypadki coraz cięższymi, i że sposobem naszego życia robimy wszystko comożliwe, aby, jak to zobaczymy mówiąc o przyczynach choroby, ją rozwielić.

Jedną z najczęstszych przyczyn niemocy nerwowej jest bezwątpienia *dziedziczność*.

Wiemy, że po przodkach, prócz wielu bardzo chorób organicznych, dziedziczą się również i tak

nazwane cierpienia funkcjonalne. Raz występują one w postaci znacznie słabszej, kiedyindziej znówu dosięgają w następnych pokoleniach daleko złośliwszego charakteru. Neurasthenia prawie zawsze jest dziedziczną, dzieci lub wnuki bądź-to w prostej linii, albo krewni w pobocznych liniach zrodzone z przodków cierpiących na chorobę umysłową, epilepsyę, hysteryę i t. p., często bardzo są pod względem nerwowym upośledzonymi. Oto, co mówi o takich dzieciach znakomity psychiatra francuzki du Saullle: „Są one z pozoru zupełnie zdrowymi, jednakże okazują skłonności do irytacyi, spazmów, sen mają niespokojny. Od dzieciństwa są kłótliwymi, łatwo wybuchającymi, leniwymi i okazują skłonność do złości, prócz tego są okrutnymi i dumnymi, prawie zawsze kłamią i kradną, —jednem słowem: są rozpaczą rodziców i udręczeniem nauczycieli. Na wszelkiego rodzaju przykrości i cierpienia są nadzwyczaj wrażliwymi, tymczasem cierpienie innych sprawia im widoczne zadowolenie, a do ulubionych rozrywek takich dzieci należy udręczenie zwierząt domowych.

Zdolności umysłowe są nad wiek rozwinięte; z początku dzieci uczą się bardzo łatwo i prędko, a w pamięci zachowują wszystko, cokolwiek usłyszą, z postępem lat jednak tępieją, nie chcą się uczyć i wczesnie kończą swój rozwój duchowy.

Po powyższej przyczynie drugie miejsce, i to wcale nie podrzędniejsze od dziedziczności, którą postawiliśmy na pierwszym, zajmuje *wychowanie dzieci*.

Jak wielki wpływ wywiera wychowanie dzieci na ich zdrowie, nietylko współcześnie, ale i na przyszłość, nad tem chyba nie potrzeba się rozchodzić. Powszechnie wiadomą jest różnica w wychowaniu dzieci wiejskich a miejskich. Wiadomo też, że szkoła może wyrzucić szkodliwy wpływ na zdrowie, że dziecko prócz wad wzroku, zбочeń w szkielecie i t. p., skutkiem niehygienicznych warunków i przeciążenia pracą, nabawić się może choroby nerwowej. Jest to przedmiot nadzwyczaj ważny; dziś w całej Europie stał się on kwestyą palącą i z pewnością prędzej lub później sposób dzisiejszego wychowania ulegnie kardynalnej zmianie. Pozostawmy go na stronie, a przyjrzymy się tylko, jako głównie obchodzącemu czytelniczki „Bluszczu”, wychowaniu domowemu dziewcząt. Otóż, nie zwracając uwagi na wrodzone zdolności dziecka, podaje mu się pokarm duchowy, którego ono bez szkodliwego wpływu na systemat nerwowy strawić i przyswoić sobie nie zdoła. Nie każde bowiem dziecko zdolne jest wyuczyć się dwóch lub trzech języków, prócz ojczystego, a w dodatku do języków jeszcze i literatury. Nie każdy umysł przyswoić sobie zdoła algebrę, geometryę, chemię, fizykę, historyę, geografę i t. p., w kompletnych kursach, bez nadwątlenia systematu nerwowego, jeszcze w dodatku dziedzicznie słabego. Tu zaliczyć także należy i przymusową grę na fortepianie. Gdyby rodzice wiedzieli: w jakim stopniu nauka dziecka nieobdarzonego, nietylko talentem, ale nawet słuchem muzykalnym, wpływa szkodliwie na systemat nerwowy, ile ta *modna mania* wyrządza szkody młodym organizmom, z pewnością wyrzekliby się rozkoszy słyszenia mazurka Szopena, lub pieśni Mendelssohna wykonywanej przez ich najukochańsze dziecko.

Nie chcemy tem dowodzić, że dziecku należy zostawić wybór w nauczaniu się tylko tego, do czego czuje zamiłowanie i pociąg. Uchowaj Boże: dziecko powinno być prowadzonem, lecz prowadzonem rozsądnie, na zasadach pedagogicznych, inaczej nauczy się wielu rzeczy, które w życiu mogą mu być pożytecznymi, ale z pewnością utraci to, co jest najpożyteczniejszem, najlepszem, to, co żadną nauką zastąpić się nie da, bez czego życie staje się dla siebie i dla drugich ciężarem, utraci zdrowie. Wybór nie trudny!

Stosuje się to szczególnie do dziewczątek, a głównie do tej epoki ich rozwoju, w której dochodzą do dojrzałości.

Powołanie człowieka bywa również często przyczyną rozwinięcia się neurasthenii. Często bardzo zapadają na nią ludzie ciężko umysłowo pracujący, a dalej tacy, których los podlega zmiennym kolejom. Do pierwszej kategorii za-

liczyć wypadła profesorów, lekarzy, literatów i inżynierów; do drugiej bankierów, przemysłowców i kupców. Prawie nagle wtedy z dzielnych, zdolnych, chętnych do pracy i tworzenia, stają się apatycznymi, tracą wszelką ochotę do zajęć, które jeszcze przed niedawnym czasem z zamiłowaniem spełniali, rozwija się w nich często stan hypochondryczny, który może chorobą umysłową się skończyć.

Nadmierne wysiłki cielesne wywierają na organizm również wpływ szkodliwy. Wszelkiego rodzaju nadużycia wyczerpujące siły muskularne: czy to w gimnastyce, czy w pływaniu, konnej jeździe, tańcu, i t. p., osłabiają systematycznie nerwy i prowadzą do niemocy. Często bardzo momentem przyczynowym wyczerpania nerwowego są niektóre choroby, jak: suchoty, rak, cierpienie nerek, a jeszcze bardziej szkodliwie działają choroby zakaźne, takie jak tyfus, szkarlatyna, dysenterja i cholera. U kobiet, może jedną z najczęstszych przyczyn chorób nerwowych w ogólności, a zwłaszcza niemocy, jest poród. Tu działają z jednej strony bóle i utrata krwi, a z drugiej wpływy psychiczne. Prócz tego nieodłączne z tym aktem przykrości z mamkami, bezsenność, gdy się samej dziecko karmi i t. p., szkodliwie wpływają na zdrowie.

Wypada jeszcze wspomnieć o alkoholu, który spożywany bywa w postaci wina, piwa, wódki i likierów. Używany w nadmiarze, działa on ujemnie na serce i systematycznie nerwy i u wielu bardzo osób w krótkim czasie sprowadza neurasthenię.

Daleko zgubniejszym jeszcze od alkoholu i szybsze sprowadzającym następstwa, jest zażywanie narkotyków, a w pierwszym rzędzie między innymi stoi tak ulubiona i, niestety, w modę już przeszła morfina. Nie będziemy szczegółowo zastanawiali się nad zmianami, jakie środek ten wywołuje w systemacie nerwowym i w ogóle w całym organizmie. Tu tylko nadmienimy, że forma niemocy nerwowej wywołana nadużyciem morfiny jest najprzykrzejszą, prawie zawsze nieuleczalną, i kończy się najczęściej utratą władz umysłowych lub śmiercią.

Palenie tytoniu, które w ostatnich czasach i między plecią piękną zaczyna się rozpowszechniać, bywa również przyczyną powstawania *neurasthenii*.

Przyjrzyjmy się teraz leczeniu niemocy nerwowej. Śmiało można powiedzieć, że niema drugiej choroby, która wymagałaby takiej bystrości umysłu, a przytem cierpliwości i ludzkiego współczucia w lekarzu dla chorego, jak neurasthenia. Stosowanie licznych środków lekarskich bez należytych wskazań, tak, na chybił trafił, bezwarunkowo jest szkodliwe. Pierwszym obowiązkiem powinno być usunięcie przyczyny wywołującej i podtrzymującej chorobę. Stosownie do wypadku leczenie winno być raz więcej skierowane na stronę psychiczną, kiedyindziej znowu zadaniem jego głównym jest wzmocnienie sił fizycznych organizmu.

Rozumie się, że przedewszystkiem starać się należy o niedopuszczenie choroby. Wiedząc, że neurasthenia prawie zawsze jest dziedziczną, trzeba nalegać na to, aby osoby nerwowe nie wchodziły w związki małżeńskie. Statystyczne dane wykazują, że z chorób nerwowych 90% jest pochodzenia dziedzicznego. Z tych samych powodów nie powinno się zezwalać na małżeństwa między krewnymi. W wypadkach, w których najdłuższe podejrzenie pada, że dziecko mogło odziedziczyć cierpienie nerwowe po rodzicach, trzeba jak najwcześniej, od najmłodszych lat, rozwinąć działalność skierowaną ku stłumieniu złego w samym zarodku. Niezmierny wpływ wywiera szkoła. Trudno wymagać, aby w klasie, gdzie pobiera naukę kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt dzieci, wyróżniano mniej zdolnych od zdolniejszych i bardzo zdolnych; aby nauczyciel mógł słabym zajmować się oddzielnie, zadawał im stosowne lekcje i wymagał od nich mniej, aniżeli od innych. Staje temu na przeszkodzie przedewszystkiem dyscyplina szkolna, a potem brak czasu. Dlatego, moim zdaniem, jeżeli to tylko możliwym jest do skutecznego, dzieci rodziców nerwowych nie powinny być kształcone w szkołach publicznych. Kształcenie ich w domu rodziciel-

skim pociąga za sobą inne znowu zło. Dowiedziona jest rzeczą, że sam widok osób nerwowych, złe traktowanie dzieci przez osoby nerwowe, brak z ich strony niezbędnej cierpliwości, raz ze zbytnią surowością, to znowu ze zbytnią pobłażliwością, oddziałują szkodliwie nawet na zdrowe dzieci, a co dopiero na takie, które na świat przyniosły zarodek cierpienia nerwowego. Dlatego najwłaściwszem jest wydalanie dzieci rodziców nerwowych z domu pod opiekę i na wychowanie osób statecznych, najlepiej krewnych.

Hygiena takich dzieci powinna być pod ścisłą i nieustającą kontrolą. We względzie diety, pościeli, otoczenia, czytania i t. p., wszystko powinno być skierowane ku wzmocnieniu słabego organizmu i zahartowaniu go na trudy życia. Dziecko im surowiej będzie wychowanym, im mniej zazna rozkoszy i zabawy w młodocianym wieku, tem łatwiej mu będzie stawić czoło przykrościom nieodłącznym od wieku późniejszego. Fałszywą jest teoria głoszona przez rodziców: „Niech mu przynajmniej, dopóki u mnie jest, będzie dobrze, boć nacierpi się potem dostatecznie.” Obowiązkiem rodziców jest zahartować dziecko, przyczynić je od dzieciństwa do ścierania się z przeciwnościami, nie dogadzać fantazjom i wpajać od pierwszej chwili zasadę, że zadaniem człowieka jest praca, że jedynie ona zapewnić może prawdziwe szczęście. Kto postępuje inaczej, kto rozpieszcza swe dzieci, ten postępuje niesumienne i gotuje im w przyszłym życiu los ciężki.

Po dojściu do wieku dojrzałego winny osoby nerwowe również kierować się ściśle przepisami higienicznymi-dyetycznymi.

Przedewszystkiem tedy unormowaną być powinna praca, szczególnie zaś praca umysłowa. Nauka dziś dowodnie wykazała, że praca umysłowa zużywa daleko więcej materiału z organizmu, aniżeli praca fizyczna. Parę godzin zajęcia umysłowego pod względem zużycia sił równa się kilkunastu godzinom fizycznego. Łatwo sobie tedy wystawić: co się robi, gdy ktoś z urodzenia osłabiony, przepędza kilkanaście godzin przy pracy umysłowej, a potem w rezultacie z powodu zbytńskiego zmęczenia, a następnie i nieuchronnego rozdrażnienia systematu nerwowego, nie może nawet kilku godzin bez przerwy przespaać i zasiada nanowo do biurka. Tego rodzaju indywidua nie powinny dłużej na 2 do 3 godzin zrzędu pracować, poczem należy dać bezwarunkowo dłuższy odpoczynek mózgowi zmęczonemu procesem myślenia, w czasie którego w znacznie wyższym stopniu, niż przy wszelkich trudach fizycznych, odbywa się przemiana materji w organizmie.

Nie podobna przytoczyć tu wszystkich metod leczniczych. Ograniczamy się tylko na wzmiankę, że świeże powietrze, wiejskie i w zakładach leczniczych, szczególnie zaś górskie i morskie, w połączeniu ze spacerami i kąpielami i przy absolutnym spokoju myśli, oddają nieocenione przysługi w niemocy nerwowej.

Potężnym i, rzec można, radykalnym środkiem jest leczenie elektrycznością. Podobnież przynależać potrzeba wielką skuteczność odniedawna rozpowszechniającemu się masażowi. Wiele pisano w ostatnich czasach o magnetyzmie zwierzęcym, czyli hypnotyzmie. Można już dziś przypuszczać, że z czasem stanie się on nadzwyczaj potężnym środkiem w leczeniu chorób nerwowych i umysłowych. Nauka jednakże nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa, a bardzo wiele jest takich wypadków, w których hypnotyzm, zamiast korzyści, szkodę zdrowiu przyniósł, tak, że chorzy przez czas dłuższy poddawać się musieli hypnotyzacji, by się pozbyć jego szkodliwego wpływu. Dlatego bezwarunkowo powstrzymać się trzeba z wszelkiego rodzaju eksperymentami w tym kierunku.

Kończymy słowami znakomitego klinicysty C. Gerhardt'a: „Pogorsza chorobę nerwową bieganie od lekarza do lekarza, studyowanie książek lekarskich i przyjmowanie silnie działających leków. Nie podlega wątpliwości, że nie lekarstwo, lecz lekarz może wyleczyć z niemocy nerwowej.”

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Do wystawczyń, nagrodzonych na Wystawie Krakowskiej, zaliczyć należy w dalszym ciągu p. Helenę Kozłowską z Dąbrowy Górniczej, której przyznano za okazy heliominiaturowe list pochwalny.

— Nagrody, otrzymane na Wystawie Nasion przez hr. Potocką z Wilanowa, są w wyszczególnieniu: dyplom uznania „za bogatą kolekcją wyborowych nasion warzywnych“, medal srebrny i list pochwalny za kartofle.

— Znana już czytelnikom naszym pszczolarka i ogrodniczka, p. Klementyna Maculewiczówna, zasłużona w swoim zawodzie przez kilkoletnią pracę zbiorowego nauczania, donosząc nam o działalności swej z ubiegłego lata, podaje, że w Powiecie Poniewiezkim we wsi Dr. Pietkiewiczza, założyła obszerny ogród i niewielką winnicę, zajmując się obok tego, jak dorocznie, nauczaniem pszczolarstwa i ogrodnictwa, przy mniejszej jednak liczbie uczniów, jak w latach poprzednich, z powodu, że była jej uczennicą, córka Dr. Pietkiewiczza, prowadziła o mil trzy taką również zbiorową naukę pszczolarstwa. Obok tego pięciu właścicieli ziemskich z Powiatu Poniewieckiego weszło z p. Maculewiczówną w układ o dozowanie przez nią ich pasiek, za wynagrodzeniem dziennem 2 rs. i ze zwrotem kosztów podróży.

P. Maculewiczówna, a po wyjściu za mąż już obecnie Jurewiczowa, przenosi swoją działalność w okolicy Trok, do własnej posiadłości Pienkieni, gdzie prowadzi będzie dalej zbiorową naukę pszczolarstwa i ogrodnictwa, rozpoczynając od 1-go Maja do 31 Lipca, pobierając: za trzymiesięczną naukę rs. 20, a dla pensjonarzy za pomieszkanie i utrzymanie na miejscu rs. 16 miesięcznie. Adres jest: Pienkieni, stacya pocztowa Troki.

— W dziale ogrodniczej pracy kobiecej interesującą jest wiadomość podana w *Gazecie Radomskiej*, przez znanego już nam korespondenta W. D. Sadu swego nie wydzierzał on w tym roku ryczałtem, urządziwszy przeciw szkodnikom straż dzienną i nocną, do której użył dwóch miejscowych uczciwych ludzi, płacąc im dziennie po gr. 50, a za noc po pół rubla. Dochód z owoców po koniec Września, już po odtrąceniu wydatków na opłacenie stróży, przyniósł mu więcej, niżeli kiedykolwiek dostawał od sadowników, a liczy, że będzie miał jeszcze za jabłka zimowe 200 rs., kiedy tymczasem sadownik, zwykle dzierżawiący u niego sad, proponował mu 150 rs. czynszu. Bliskość Radomia pozwala p. W. D. korzystnie owoce swe spieniężać, ale Spółka Owocowa, która nareszcie prawnie zawiązana została przez akt rejentalny, a której działalność rozpoczyna się z dniem 1-go Kwietnia r. p., już różnice położenia znacznie zmniejsza, czyniąc hurtowy handel owocami zadaniem swoim. Przy pierwszych zawiązkach spółki, znajdowało się między jej członkami parę kobiet, obecnie lista członków nie wykazuje żadnej.

Córki dorosłe, przebywające w domu rodziców, mogą praktyczne ogrodnictwo i sadownictwo pracą swą czynić, tak, jak mogą brać w pacht mleczyno. Gałęzie to pracy najzupełniej, odpowiednie ich położeniu i jeżeli rodzice nie mogą uposażyć córek kapitałem nakładowym, to mogą w każdym razie zawrzeć układ z wypłatą na raty, z dołu wnoszone.

— Zajęcie się grzybobiorstwem w okolicach, gdzie lasy w produkt ten obfitują, może się stać źródłem dochodu i przedmiotem pracy kobiecej. Jedną z prenumeratorek „Kuryera Warszawskiego“ korzysta z niej snadź pragnie, bo zapytuje się o ceny grzybów suszonych i otrzymuje od redakcyi odpowiedź, że wedle lepszego lub gorszego gatunku otrzymać można w Warszawie za pudół 12 do 18 rs., sprzedając hurtem; przecięż za grzyby wyborowe, młode i świeże, dobrze

uszone, można otrzymać więcej o parę rubli. W sprzedaży detalicznej za funt dobrych grzybów otrzymuje się zł. 4. Stowarzyszenie spożywcze „Merkury“ grzyby zakupuje; adressować trzeba: „Do Zarządu Stowarzyszenia Merkury w Warszawie.“

— *Kaliszanin* podaje w nadesłanej mu korespondencji wiadomość o pewnej wiejskiej pani dobrej woli i rozumnej chęci, która, pragnąc rozbudzić życie umysłowe swojej okolicy, podała myśl zbierania się sąsiedzkiego wieczorami na czytanie książek, aby z nich czerpać środki skutecznego przeciwstawienia się tym złym czasom, na które obecnie narzeka się beczynnym. Zabrakło jednak temu dobremu projektowi szerszego poparcia.

— W Poznaniu prezydentką komitetu pań przygotowujących dary na jubileusz Leona XIII, a których najznaczniejszą część składa się z aparatów i bielizny kościelnej, jest p. Zofia Donimirska. Działanie komitetu jest uświęcone najpomysłniejszym skutkiem przez współudział wszystkich warstw społeczeństwa, a w czasie kwesty na potrzebny grosz nakładowy zdarzył się wypadek wrzaszający: zupełnie niezamożna kobieta z ludu złożyła 170 marek.

Nauczycielki gdańskie wyhaftowały wspaniałe kobierce wielkich rozmiarów; w Dyecezyi Warmińskiej dary ręką pracowitych pań wykonane są także bardzo pięknie; w Dyecezyi Wrocławskiej, gdzie działał również komitet pań, wygotowano pysznie piękne, złotolite ornaty, bogate alby z drogocennymi koronkami. Wiele pań ofiarowało kosztowne klejnoty, perły, brylanty, drogie kamienie, a w tej liczbie znajduje się Księżna Raciborska, której mąż brał niegdyś udział w tak zwanej walce kultury. Hrabina Praszma stoi na czele komitetu pań tych okolic, a córka jej, Marya Pia, przewodniczyła zgromadzeniu pań wrocławskich, które własnoręcznie wykonały wielką ilość bielizny kościelnej, dla ofiarowania jej także Ojcu Świętemu, aby zaopatrzył ją wedle potrzeby ubogie kościoły.

Trzeba tu dodać, że w Archidiecezyi Poznańskiej księżna Marya Hohenzollern stała na czele oddzielnego komitetu Niemek, które poczuwały się do obowiązku złożenia także aktu czci swojej Papieżowi. Sędziwa Cesarzowa Augusta należy również do tych pobożnych niewiast, których dary znajdują się w Watykanie, ale pani ta, z domu księżniczka wejmarska, więc wychowana w szlacheckich zasadach ludzkości i dążeń idealnych, przytem wysoko wykształcona, okazywała zawsze strony uczucia szlacheckie i łagodne, a kiedy walka kultury pruskiej, a raczej Bismarck wypędział z Poznańskiego zakonnic, zająca ta pani własnym kosztem i szlacheckim staraniem umożliwiła im przejazd do Koblenzy i Trewiru.

Oprócz cesarzowej Augusty królowa Krystyna Hiszpańska, cesarzowa Austriacka, królowa Karolina Saska, księżna Klotylda Bonapartowa siostra króla Humberta, królowa Portugalska, także z domu księżniczka sabaudzka, przesyłają Papieżowi bogate dary. Niewątpliwie znalazły się między niemi i dar królowej Małgorzaty Włoskiej, która jest panią bardzo pobożną, jak cały Dom Sabaudzki.

W Sejmie Szwedzkim w jego Izbie Niższej, Rigsdag, podniesiono kwestyą pracy kobiecej i udziału kobiety w miłosierdziu i nauczaniu publicznym. Poseł Borg postawił wniosek, aby kobiety niezależne, co zapewne oznacza: niezwiązane obowiązkami rodzinnymi, weszły do zarządu dobroczynności publicznej, do zarządu szkolnego, oraz do zarządu zdrowia. Pierwszy wniosek oddano odpowiedniej komisji, która poparła go na zasadzie, że kobieta, tak przez doświadczenie

w tym kierunku, jak przez naturalne skłonności uczucia, jest usposobiona do szerszej działalności dobroczynnej i może, a nawet powinna, zajmować miejsce jakieś w departamencie dobroczynności publicznej. Drugi wniosek: przypuszczenia kobiety do Rady Szkolnej, uznano również za uzasadnione, ponieważ kobiety są nauczycielkami w szkołach publicznych, zwłaszcza w nauczaniu elementarnym zajmują miejsce znaczne i działalność ich żywszą tam jest, niżeli nauczycieli mężczyzn. W skutek takiego przedstawienia komisji, wniosek przeszedł przez Rigsdag i następnie został też przyjęty w Izbie Wyższej, gdzie przy głosowaniu zyskał 101 głosów przychylnych, przy opozycji 77-miu. Wniosek trzeci: aby kobiety dojrzałego wieku weszły do departamentu zdrowia publicznego, został odroczone. Przemawiano za nim ze względu, że tu chodzi także o kobiety i dzieci—o całe ich zastępy; kobieta więc znaleźć się tam powinna, jako głos prawodawczy i stróż w wykonywaniu uchwalonych przepisów. Sądzą w Szwecyi, że kwestya wejścia kobiety do zarządu zdrowia jest tylko kwestyą czasu. Nie jest to bynajmniej jakiś krok w kierunku tak zwanej emancypacji, ale naturalny i potrzebny udział kobiety w staraniu o dobro publiczne, do którego może się skutecznie przyłożyć.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Szlachetnego nastroju poeta** niemiecki, Fryderyk von Bodenstedt, czerpiący przedmioty swoje z życia Wschodu, wydaje z dawnych swych rękopismów poemat „Sakuntala.“ Bodenstedt pisze też swoją autobiografią, gdzie będzie zamieszczona jego korespondencja z wielu wybitnymi ludźmi jego czasu, zwłaszcza angielskimi. Mają się tam znajdować i listy Krasińskiego.

— **Oryentalista** Halévy, członek Instytutu Francuzkiego, udał się do Konstantynopola dla przejrzenia i uporządkowania starożytnych napisów, znalezionych w Sydonie. Sułtan własnym swoim kosztem stawia kiosk, w którym pomieszczone zostaną. Jest on, mimo braków, objawiających się w skarbce tureckim, bardzo szczerym w pewnych kierunkach i świeżo posłał do Mekki znaczną sumę z własnej szkatuły dla uporządkowania biblioteki, złożonej z 4,000 dzieł, głównie arabskich, które ojciec jego, Abdul Medzyd ofiarował świętemu temu miejscu, a gdzie zwalone w jakimś starym gmachu marniały. Wszystkie książki mają być wspaniale oprawione.

— **Leon Say**, ekonomista francuzki, przyzwawszy na współpracownika Józefa Chailly, pisze dykcyonarz ekonomii politycznej, który chce uczynić dziełem popularnym.

— **Doświadczenia nad usunięciem zarasków chorobliwych ze ścian mieszkań**, zostało dokonane w Berlinie przez Dr Esmarch i ogłoszone w tamtejszem czasopiśmie higienicznym. Dotychczas, chcąc usunąć z pomieszczeń zaraski, odzierano ze ścian obicie i palono je, pokazało się przecież, że to właśnie mogło się przyczyniać do rozszerzenia choroby, bo osadzone na ścianach miazmata w ten sposób poruszane i rozprowadzane były z powietrzem. Najlepszym sposobem oczyszczenia pokoi, w których przebywały osoby chore, jest wycieranie ścian świeżemi bułkami pszennymi, co też zostało w Berlinie przez policję nakazane mieszkańcom. Dr Esmarch dokonywał prób osobiście: świeżą bułką, tak roz-

krojoną, aby ośrodek służył do wycierania, wycierał ścianę dwukrotnie, przy miernem naciskaniu. Po drugiem wytarciu żaden osad szkodliwy już nie pozostał, i należy tylko wszystkie, najdrobniejsze okruszyny bułki zbierać i zaraz w ogień rzucać, dopilnowywując, aby się stiliły doszczętnie.

— **El Dorado** nie przestaje kusić ludzi swoim mytem złota. Oto pewien Francuz, Juliusz Gros, udał się tam dla założenia rzeczpospolitej, której prezydentem się ogłosił. Kiedy Kolumb w czasie swej trzeciej podróży w 1498 r. i Pinçon w 1500 r. wylądowali w Guyannie, rozpowszechnionem było przekonanie, że istnieje w głębi kraju miasto, w którym panuje król, cały w złoto obleczony, a niesłychane skarby tego kruszczy kryją się w podziemnych jaskiniach, ciągnących się tak daleko, że nikt końca ich nie doszedł. Tłumy awanturników puszczały się na poszukiwanie tych pieczar złotych, przez cały wiek XVI i XVII, a legenda ta istniała jeszcze w wieku XVIII, bo rządca Kanady, Klaudyusz Dorvilliers, wysłał w roku 1720 wyprawę, której celem było poszukiwanie El Dorado.

W późniejszych czasach nauka przysłała z pomocą w rozjaśnieniu błędu, który wieki całe zwodził tłumy ludzkie, zagrzane pragnieniem bogactw, tłómacząc powstanie legendy o podziemnych ze złotem ścianami przez jaskinie, łatwo się tworzące w skałach, zawierających miedź, która, polyskując przy świetle pochodni, dawała oczom złudzenie drogiego kruszczy. Sypały się też z powały tych jaskiń błyszczące blaszki miedziane, znane pod nazwą *małpiego złota*, lecz w których niewiadomość Indyan widziała złoto prawdziwe i wieść o nim rozniosła. Gorączka złota Europejczyków wzruszyła żywą wyobraźnią krajowców, którzy, wszędzie złota upatrując, snuli o niem bajki i stworzyli legendę o mieście złota: *El Dorado*, które, jak się pokazało, dziś jeszcze niepokoi umysły i wyciąga ludzi na awanturnicze przedsięwzięcia.

Prasa francuzka ostrzega Juliusza Gros i wkażuje mu, że Guyanna i El Dorado to od czasów Henryka IV ziemia klasyczna zawodów, poczynając od szlachecka poitewińskiego, la Rivardiéra, od Kompanii, tworzących się w 1626, w 1633 i 1643 roku—od okrutnego Poncet de Brétigny, który piętnował rozpalonym żelazem nieszczęśliwych marzycieli, winnych tylko snów o skarbach, aż skończył ciężką śmiercią ich okrutnego odwetu. I ciągnie się jeszcze litania długa uparcie wierzących i ciężko zawadzonych: Kompania Dwunastu, zawiązana w 1652 r.; Kompania Indyi Zachodnich, założona przez Colberta w 1664 roku, która tylko pokryła koszt; wyprawa z 1763 r. prowadzona przez margrabiego Turgot i intendenta de Champvallon, która pociągnęła za sobą emigracją 13,900 Alzateczyków, a z której powróciło zaledwie z duszą 918 ludzi. Dalej jeszcze następują wyprawy de Bessner'a w 1767 i 1772, de Villebois w 1788 r.—wszyscy ci ludzie szukali El Dorado a znaleźli śmierć lub nędzę! Ciekawy przedmiot dla badań filozofa!... wołają Francuzi, z pomiędzy których wyrwa się znów marzyciel, szukający Złotego Runa.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza Arkusz 4-ty powieści pod tytułem **Godność kobiety**, przez H. Heinberg.

TREŚĆ: Czybys przystała, (Pioski górskie), poezya, przez Szczęsną.—Księżna Izabella, (dalszy ciąg).—Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicz.—Nowiny paryżkie, (dokończenie).—Podróżniczka angielska nad jeziorem Tanganyika, (dokończenie), przez Maryę Ilnicką.—Wiadomości z medycyny i higieny, (dokończenie), przez Dra J. Starkmana.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili. **Dodatek obejmuje:** Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Godność kobiety**, przez H. Heinberg.—Przegląd mód.—26 wzorów ubiorów i robót z opisem.—Sekreta gospedarskie.—Dyspozycją stołu.



Nr 4. Okrycie z pluszu. Plecy. (Do ryc 1).

Przegląd mód.

Kapelusze filcowe. — Jesienne — Fabryka pana Weigta. — Nowości na sezon zimowy u pana Makowskiego. — Modele płaszczyków jesiennych pani Matuszewskiej.

Każda z nas przez lato tak zniszczyła kapelusze, że gwałtownie zewnętrzna tualeta głowy, wymaga odświeżenia. Pierwszym do tego środkiem, jest wybrać sobie nowy kapelusz jasny filcowy. Fasony tegoroczne są bardzo ładne, bo jest to rodzaj cichej amazonki, z więcej wywiniętymi bokami na dwie strony, trochę krótsze z przodu i z tyłu, z główką o wiele niższą, przybranie gra tu ważną rolę i podwyższa kapelusz do żądanej, podług dzisiejszej mody wysokości. Dawniej kapelusze nasze krajowe, były niemożliwe do użycia dla kogoś, kto nie chciał męczyć sobie głowy, były sztywne, twarde, więc niemiłe, nie wygodne w noszeniu, to też te z pań naszych, które mogły płacić drożej, szukały zawsze filcu zagranicznego, a wyraźniej mówiąc francuzkiego. Dziś nie potrzebujemy już przepłacać drogiej tych wyrobów zagranicznych fabryce p. Weigta, zasłużenie męskiej na każdej Wystawie, znaleźć można miękki z najlepszego filcu, lekkie kapelusze, w tonu wężej wspomnianego i to zupełnie dowolnie biorąc albo sam fason, albo kapelusz już ubrany i to bardzo zręcznie. Nie trzeba już — zgoda nie trzeba wyrobów obcych — przekonałam się o tem, oglądając te kapelusze we wszystkich kolorach i fasonach — na przykład: białe

i kremowe, głównie dla dzieci lub dla wielkich elegantek przygotowane.

Nowości na sezon zimowy u pana Makowskiego są bardzo ładne. Pisałam już, że paski, pasy, i siutaszowane suknie będą najmodniejsze, otóż oprócz zwyczajnych, czysto wełnianych wyrobów lub mieszanych z bawełną — są przepyszne wyroby, od razu siutaszowane w fabryce i jakby plecionką z pikotami naszywane w różnolite desenie „ramage“ na wełnie, w szerokie pasy jednego cieniu. Na przykład na modnym kolorze „vieux-rose“, przyczem trzeba dodać, że nie jest to bynajmniej jakiś różowy kolor — wcale nie... przypomina on miedź zciemniałą i jest to barwa jasno-różowo-wiśniowa — dwa pasy 5 centim. szerokie, dwóch ciemnych cieni — na tem wrabiane owe desenie i to we wszystkich modnych dziś kolorach. Do tego zawsze jest na spódnicy materiał gładki, chociaż dziś przy fasonach modnych, prawie gładkich, układanych w fałdy, nie wiem jak sobie radzić będą modystki. Suknie z grubej wełny muszą być całe jednakowe — ze strojnemi rzecz się ma zupełnie inaczej — ale o tem później.

Nie nosi się już kołnierzy i mankietów z pluszu lub aksamitu — za to na przybranie tych bogatych sukien wełnianych, są plusze i aksamity w morowy deseń, który się łamie w gzygzaki, jakby błyskawiczne, bardzo to ładne, jednak mojem zdaniem, w najlepszym guscie kołnierzyki są z materji plisowanej, co jednak nie do każdej sukni da się to zastosować. Na eleganckie, a trzeba dodać, krótkie okrycia, pokazywano nam wytworny materiał drogi, bo po 12 rubli — ale coś wspaniałego — na brązowym lub koloru wydry



Nr 5. Sukienka dla panienki od 11 do 13 lat. Plecy. (Do r. 22).

„lutre“, aksamitnych i atlasowych, lub pluszowych i „faille“, naprzemian idących pasach, desień jedwabny fryzowany w tymże cieniu — coś wspaniałego powtarzamy. Na krótkie okrycie bierze się mniej więcej 6 łokci, przy obłożeniu piórami, lub wysokim jedwabnym pluszem popielatym, będzie okrycie już najwyższej elegancji.

Na futra są zawsze używane jedwabie, adamaszki, materje grube w deseń grochu lub pastylek, lub wreszcie bardzo strojne i zupełnie

w nowym rodzaju mory w pasy atlasowe, a na tych ostatnich desień adamaszkowy. Należy mi również wspomnieć, że pan Makowski w tym roku sprowadził różne podszewki, jedwab' z bawełną — materiał szeroki półtora łokcia, po 90 kop. do rsr. 1, kop. 20 za łokieć. Jako materiał sezonowy, czyli taki, w którym fantazja gra główną rolę, pokazywano nam śliczne flanelki w paski szersze i węższe, białe, kremowe, pasowe, słowem różne na eleganckie ranne ubrania w domu — spódnica i kaftan, lub szlafroczek — choć dziś mniej noszony, ale zawsze ładniejszy jak kaftan — zresztą można wybrać sobie, co kto woli, bo oba fasony są noszone. Nie mówiliśmy jeszcze nic o okryciach zimowych, a może mroz już prędko nas zaskoczy — więc widzieliśmy u pani Matuszewskiej, specjalnym składzie okryć — długie, prawdziwie paryzkie okrycia z jedwabiu bardzo grubego, niby reps, ale jeszcze grubszy — rękawki dołmanowe, wyłożenie długie z przodu i kliny boczne z pluszu „lutre“, całe na atlasie, bez waty, a jednak tak grube wy-



Nr 1. Okrycie z pluszu. Przód. (Do ryc. 4). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr. VII. fig. 51—57.

Nr 2. Suknia z wełny. Opis pierw. str. tabl.

Nr 3. Okrycie z supełkowego materiału. Krój odwr. str. tabl. Nr. VI, fig. 42—50.

roblem swym, że i ciepło było, ale dodać należy, że cena za to okrycie jest 280 rubli, bo zapłacono cła rsr. 150. Od jedwabiu płaci się za funt konfekcji 8 rsr.

Drugi płaszczyk gruby wełniany, formujący od razu rękawki z pelerynki, był obłożony imitacją barankową, wygodny, ale to już należy do bardzo negliżowych rzeczy, z krótkich okryć, tak jak u sukien, najmodniejsze sutaszowane, był jeden paryzki model brązowy jedwabny, cały bogato sutaszem wyszywany, z rękawkami i kołnierzem pluszowym, forma okrycia była jak w roku zeszłym, z tyłu krótkie, mocno wcięte do figury, z przodu o wiele dłuższe, bo i cóż stworzyć w tym rodzaju nowego? Rękawy zawsze zostaną rękawami, a plecy plecami — trochę dłuższe, krótsze, ot i cała różnica. Jako fantazyjną nowość widzieliśmy kaftanik krótki, koricowy, brązowy, bardzo ciemny, z kamizelczką, kołnierzykiem i wszywaniami klinikami z boków z białego cieniutkiego baranka, a obok baranka wszystkie szwy sutaszowane. Ładne to cacko, właściwe dla młodych osób, lubiących ekcentryczność.

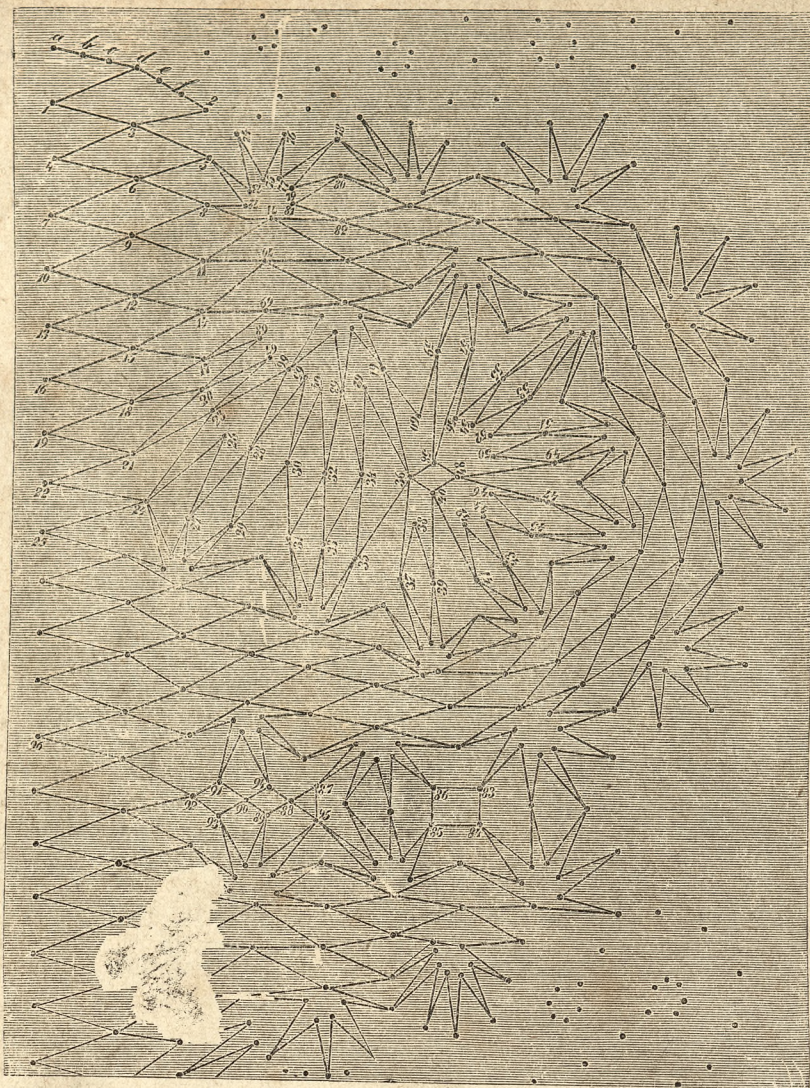
L. C.

Kołnierzyk damski szydełk. robotą.

Rycina Nr 16 i 17 w Blu. 41. Deseń odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 30.

Kołnierzyk zrobiony szydełkiem,

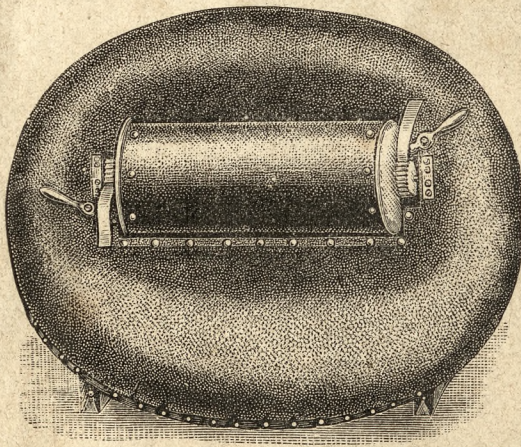
krętą bawełną kremową średniej grubości, podług fig. 30 składa się z pojedynczych gwiazdek spojonych. Dla nadania formy przy wykroju szyi, wykonać w odstępach cztery razy po dwa rzędy łukowe połączone z gwiazdkami; prócz tego kończą go dwa rzędy wykonane wzdłuż z których ostatni łączy się z kołnierzykiem, składającym się z 14 gwiazdek. Na każdą gwiazdkę zrobić 10 pow. ocz., połączyć je 1 ścis. ocz. Kolej 1: 18 ścis. ocz. w około i 1 ścis. łań. o. w pierwsze z nich. Kolej 2: * 14 o. pow., na tych samych z powrotem, 22 ścis. ocz. w te same ocz., 1 ścis. ocz. w następne każde oczko poprzedniej kolei, robotę odwrócić i na tych samych wracając 22 ścis. ocz. w tylne żyłki poprzedziane 22 ścis. ocz., robotę odwrócić, 1 pow. ocz. 22 ścis. ocz., z których pomiędzy 5 i 6, 9 i 10, 13 i 14,



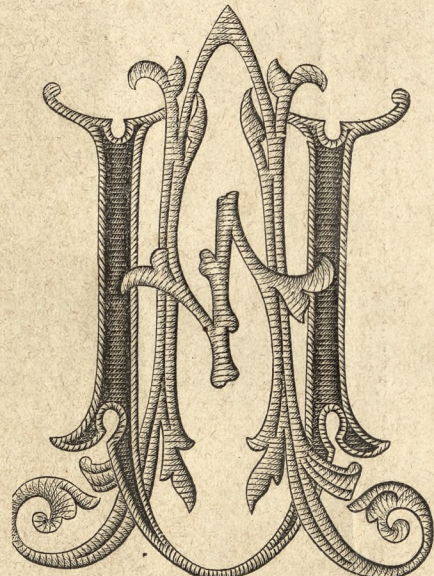
Nr 6. Wzór koronki klockowej ryc. 8. Wielkość naturalna.



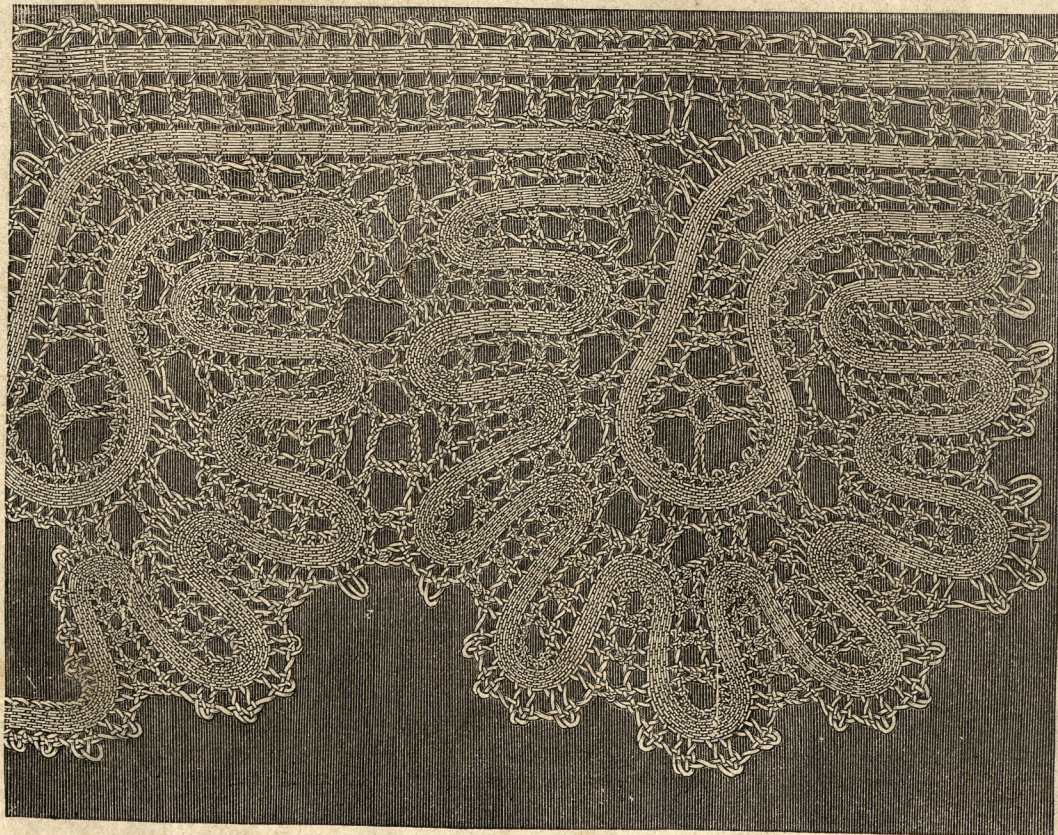
Nr 9. Znak haftowany.



Nr 7. Poduszka do roboty klockowej (Do ryc. 8)



Nr 10. Znak haftowany.



Nr 8. Koronka robotą klockową. (Do ryc. 6 i 7).

17 i 18 zrobić pikot (t. j.: 5 pow. ocz. i ścisłe łań. ocz. w pierwsze z nich), w tylne żyłki poprzednich 22 ścis. ocz. następnie 2 ścis. ocz. w następne 2 o. poprzedniej kolei, od * 5 razy powtórzyć, za każdym razem połączyć 14 o. pow. z przedostatnim pik. poprzedniej części gwiazdki, prócz tego przy ostatnim powtórzeniu przerobić trzeci pikot z 14 pow. oczek pierwszej części gwiazdki; gwiazdka skończona. Złączyć gwiazdki (52) podług ryc. 16 i 17 wykonać przy wykroju szyi łukowe obrócenie z 2 kolei, z których 1 składa się z pojedynczych słup., między nimi odpowiednia ilość pow. ocz. (przy wycięciu zębów podw. sł. połączone górnymi żyłkami. Kolej 2 składa się z ścis. ocz., między 4 a 5 pikot połączony z pik. gwiazdek stojącego kołnierza.

Serweta z dziurkowanego sukna krzyżowym i Holbeina ścięciem.

Rycina Nr 15 w Blu. Nr 41.

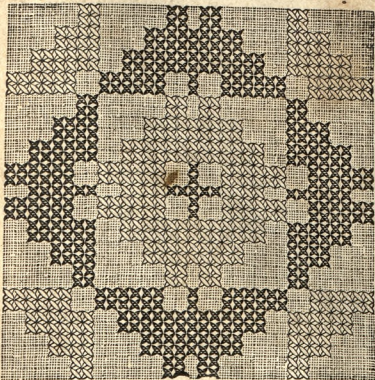
Serweta na fortepian lub stolik, 157 cent. długa, a 41 cent. szeroka, z ciemno pasowego sukna, wycięta w około w zęby; ze szlakiem dziurkowanym na wykonanie haftu, 8 centim. szerokim, w odległości 4 cent. od brzegu. Haft wykonać krzyżową robotą, oliwkową włóczką, brązowym i niebieskim jedwabiem ścięciem Holbeina, podług ryc. 26. Podszycie kaszmiem.

Kwadrat szydełkową robotą.

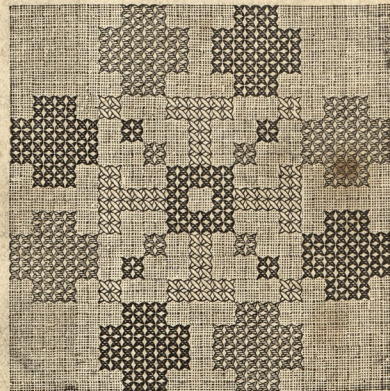
Rycina Nr 23 w Blu. Nr 41.

Kwadrat zdany na serwetę, wykonać grubą niebieską bawełną „Estremadura”. Składa się z 4 pojedynczych gwiazdek, połączonych w środku kółkiem z pikotów i obróbiionych w około. Pierwszą gwiazdkę zacząć od środka: 12 pow. ocz., połączyć 1 ścis. o. 3 pow. o. i w tym łańcuszku 31 sł. w około, 1 ścis. o. w trzeciej z poprzednich pow. ocz., 32 ścis. ocz.

w wierzchnie żyłki następnym 32 ścis. o., robotę odwrócić, 1 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w pozostałą wolną spodnią żyłkę następnego, poprzednio wykonanego 31 sł., * na 1 ząb 4 pow. o., na tych samych z powrotem, opuszczając następnym 1 ścis. ocz., 1 pół-sł., 1 sł. w następne 3 ocz., 1 ścis. oczko w pozostałą wolną żyłkę 4 z 31 słup., od * 7 razy po-



Nr 11. Deseń na serwety, poduszki i t. p. krzyżową robotą.



Nr 12. Deseń na serwety, poduszki i t. p. krzyżową robotą.



Nr 21. Paltocik dla panienki od 10 do 12 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V. fig. 32-41.

wtórzyc i zakończyć nitkę. Przy robocie następnych gwiazdek łączyć je podług wzoru, prócz tego na środkowe połączenie, zaczynając od 4 pow. ocz. 5 zęb. + 2 ocz. pow., 1 pikot, 2 pow. ocz. i połączyć z 5 zębem następnej gwiazdki, od + 3 razy powtórzyć, 1 ściś. ocz. w 4 pow. ocz. zęba, z którego zaczęte spojenie. Obrobienie składa się z 7 kolei. Zacząć od 1 zęba 4 gwiazdki, 4 ściś. o. w 4 pow. ocz. tegoż zęba, następnie 1 kolej: 8 pow. ocz., 1 słup. w to o., w którym ostatnie ściś. łańc. ocz. wykonane było, * 2 pow. ocz., 1 pikot na lewą stronę, 2 pow. ocz. 1 ściś. ocz. w następny ząb tejże gwiazdki, 2 pow. ocz., 1 pik. z wewnętrznej strony, 2 pow. ocz., 1 słup. w następny ząb tejże gwiazdki, 1 pow. ocz., 1 pik., 1 pow. ocz., 1 słup. w następny ząb następnej gwiazdki, 2 pow. ocz., 1 pik., 2 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w następny ząb, 2 pow. ocz., 1 pik., 2 pow. ocz., 2 słup. między niemi 5 pow. oczek w następny ząb, od * powtórzyć, w końcu jednak zamiast 2 słup. i 5 pow. ocz. między niemi, tylko 1 ściś. ocz. w 3 z pierwszych 8 pow. oczek tego rzędu. Kolej 2 ciągle: po 1 ściś. oczku, w każde ocz. na rogach 3 ściś. o., w każde oczko. Kolej 3: 3 ściś. ocz. w następne 3 ocz., 3 ściś. o. w następne ocz., * 2 ściś. oczka w najbliższe 2 ocz., 4 razy naprzemian: 5 muszek (na ten ściąg wziąć na szydełko 1 ocz. z najbliższych ocz., przerobić 5 pow. oczek i połączyć ostatnie z nich z ocz. będącem na szydełku), 5 o. ściś. w następne ocz., 1 muszka, 2 ściś. ocz. w następne 2 ocz., 3 ściś. ocz. w ocz. narożne od * 3



Nr 18 — 19. Egretka z piór, szpilka do kapeluszy i klamierka

Nr 20. Pasek z pasmantery.

razy powtórzyć, lecz przy ostatniem powtórzenie opuścić ostatnie 2 ściś. ocz., oraz 3 o. ściś. na narożniku. Kolej 4 jak 3, uważając, aby muszki się mijaly jak na wzorze. Kolej 5 jak 2. Kolej 6: Robotę odwrócić i na tych samych ocz. z powrotem, ciągle po 1 o. ściśłem w spodnią żyłkę poprzedniej kolei, w każdym narożniku po 3 ściś. ocz., w końcu 1 łańc. ocz. w 1 ściś. ocz. tej kolei. Kolej 7: Robotę odwrócić i z prawej strony 1 ściś. o.



Nr 22. Sukienka dla panienki od 11 do 13 lat. Przód. (Do r. 5). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10-19

łańc., w środkowe z 3 ściś. ocz. narożnika, 4 pow. ocz., 2 słupki, między niemi 1 pow. ocz. w następne ocz. i ciągle naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. w każde drugie oczko, na rogu 3 słup. między każdym 1 pow. ocz., w te same oczko, w końcu 1 ściś. ocz. w 3 z pierwszych 4 pow. o. tej kolei.

Okrycie z supelkowego materiału.

Rycina Nr 3. Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 42-50

Okrycie z brązowego i popielatego supelkowego materiału, zdobia brązowy aksamit i sznury jedwabne brązowe i popielate. Po dopełnieniu złożonych fig. 42 i 44, ukroić podług fig. 42 do 44, 48 i 49 po dwie części z materiału supelkowego, podług fig. 45, 46 i 50 także po 2 części z aksamitu, merli i podszywki, połączyć plecy, boczki i przody okrycia podług liczb, dolny i przedni brzeg podszyć z lewej strony pasem z materiału, ubrać dolny brzeg boczków i przodów aksamitem aż do gładkiej linii. Na przodach umieścić wyłogi od liczby 31 do 32 (fig. 45) na plecach przyszyć patki, stosując się do liczb i znaków, umocować do fig. 44 $\dagger a$ na kropkę a i wszyć kołnierzyk od liczby 27 do 33. Ubrać rękaw aksamitem z lewej strony od przedniego brzegu do linii, połączyć z wierzchnią częścią rękawa od liczby 34 do 35 i od liczby 36 do 37, wyłożyć na lewą stronę, wszyć rękawy do okrycia od liczby 37 do 38 i od liczby 37 do 24. Brzeg materia-



Przód.

Nr 23 i 24. Okrycie dla panienki od 11 do 13 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig 20-27.

Plecy.

tu zeszyć z plecami wzdłuż linii, od liczby 24 do 39.

Koronki z sutaszu.

Rycina Nr 25 i 26.

Ryciny przedstawiają dwie koronki z sutaszu, jedną wąską, drugą szeroką, mogące służyć jako ozdoby do sukni i wykonane w rozmaitych kolorach. Przenieść deseń na grube płótno, nafastrygować sutasz na niem podług konturu i wykonać ściąg koronkowy, jak również pajęczki włóczką lub jedwabiem tegoż samego koloru.

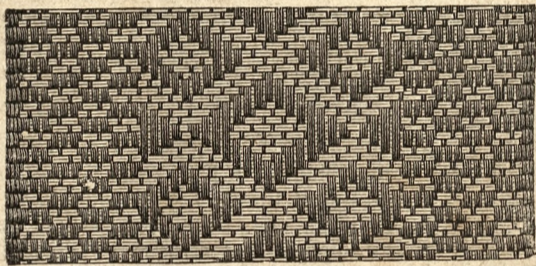


Nr 27. Pasmanterya do ozdoby końców z wstążek lub z materiału. Połowa naturalnej wielkości.

Kwasty pasmanteryjne.

Rycina Nr 27 i 28.

Pasmanteryje te służą jako zakończenie końców z wstążki lub materiału. Górny koniec tej pasmanteryi, nasuwa się na dolny brzeg zmarszczonego końca wstążki lub materiału. Ozdoby te mogą być wykonane w każdym kolorze, jedwabiem lub wełną pasmanteryjną robotą.



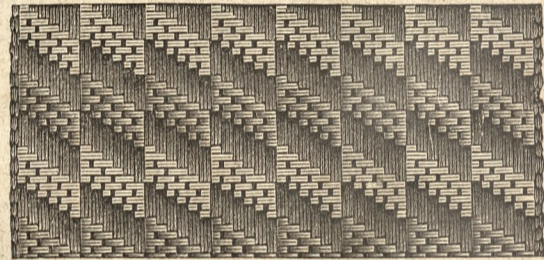
Nr 29. Pleciony szlak do ozdoby różnych ubrań.



Nr 25. Koronka z sutaszu do sukni. (Do ryc. 26) Wielkość natural.



Nr 31. Stanik ubrany sutaszem Deseń pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 28—31.

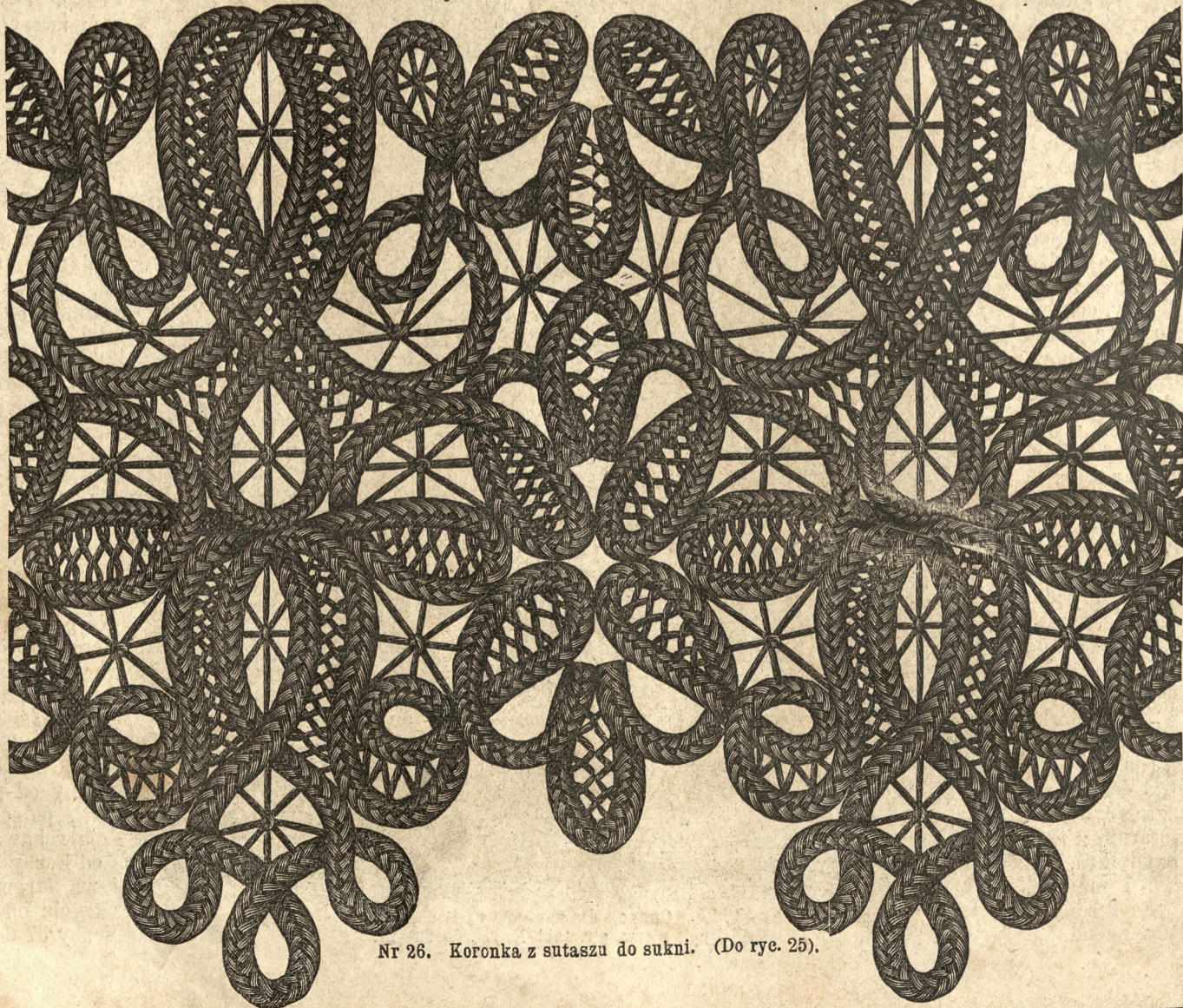


Nr 30. Pleciony szlak do ozdoby różnych ubrań.

Stanik ozdobiony sutaszem.

Rycina Nr 31. Wzór pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 28—31.

Gładki stanik z jasnej wełny, ubrany ciemniejszym sutaszem, zapięty na haftki i koniki. Napierśnik, ozdobiona zakończona spięzasto na plecach, mankiety i stojący kołnierzyk wykonane sutaszem. Przenieść deseń na grube płótno fig. 28 i 31 po dwa razy w przeciwnym kierunku, fig. 29 złożoną wzdłuż środka, fig. 30 podług długości kołnierzyka; sfastrygować kontury sutaszem, wypełnić puste miejsca kordonkiem lub wełną, ścięciem kordonkowym i pajęczkami; wypróc fastygę i naszyć stanik podług ryciny.



Nr 26. Koronka z sutaszu do sukni. (Do ryc. 25).

Przepisy gospodarskie

Budyń z mózdzku cielecego.

Dwa mózdzki ugotować z solą i łyżką octu, obrane poprzednio z błonek, wymyć jak zwykle i ubić w ten sposób, aby były jak śmietana. Wtedy dodać pięć łyżek stołowych śmietanki słodkiej, gęstej surowej, cztery żółtka, trochę soli, pieprzu, ubić pianę z czterech białek i wymieszać wszystko dokładnie. Kiedy już dobrze wymieszane, włożyć do formy masłem wysmarowanej i bułeczką wysypanej i gotować całą godzinę na parze. Podać po zupie z sosem z korniszonów lub grzybonów marynowanych.

L. C.



Nr 28. Pasmanterya do ozdoby końców z wstążek lub materiału 1/2 naturalnej wielkości.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa sliwkowa.
2. Befszytk z kartoflami.
3. Marche w z grzankami.
4. Młoda indyczka z kompotem z jabłek i gruszek.

UWAGA

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.